



MICHAŁ BAŁUCKI

---

**Dorożkarz nr 13**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

MICHAŁ BAŁUCKI

## *Doróżkarz nr 13*

### I

Ta trzynastka była dla niego fatalną. Każdy omijał doróżkę, na której tle czarnem, polyskliwem, wypisany był białą farbą ów nieszczęsny numer. Niejeden zapędził się do doróżki — już miał wsiadać, gdy naraż wyczytawszy numer, cofnął się jakby go coś odepchnęło i poszedł dalej szukać innej.

Nawet ludzie wolni od przesądów, gdy im wypadło jechać w jakim interesie, o którego powodzenie chodziło, albo w jakiej ważniejszej chwili życia, woleli zawsze wsiąść w każdą inną doróżkę, niż w trzynastkę. Mimowoli ulegali sile zakorzenionego w ich umyśle przesądu, któremu zdrowy rozsądek urągał. Chyba, że był kto tak roztargniony, iż nie zwracał uwagi na numer, albo gdy żadnej innej doróżki na placu nie było, wtedy dopiero w ostateczności brano tę trzynastkę, co się najczęściej zdarzało wśród ulewnego deszczu, lub późno w nocy. Brano ją także na pogrzeby, bo tam nieszczęsna trzynastka była całkiem na miejscu. Wobec grozy śmierci nikła i błada jej fatalność.

Dla koni było to bardzo wygodnie, bo sobie po całych dniach odpoczywały na placu, mając u pysków uwiązane torby z obrokiem, którym się raczyły dowoli, widząc, że im nikt nie przeszkodzi; ale dla właściciela doróżki, Tomasza Wali, nie była to wcale przyjemność, stać po próżnicy i wyczekiwać na gości, którzy się nie zjawiali, więc też, gdy inni doróżkarze głośno rozprawiali między sobą, albo dla nabrania humoru ciągnęli się wzajem naprzeciwko do szyneczku pod Kogutkiem „gdzie było piwo z dobrem wódkiem” i gęsina świeża — on siedział, jak mruk na koźle, zły i markotny. Na poczęstunki nie chodził, bo nie miał na to, żeby się odwzajemnić kolegom. Nieraz ślina mu szła do ust, gdy z pod Kogutka zaleciał zapach smarzonej kiełbasy, na kieliszek wódki przychodziła także nieraz ochota; ale się poskramiał, bo lichy zarobek nie pozwalał mu na takie przyjemności. Bywały dni, w których nie uzbierał tyle, żeby wystarczyło na obrok dla koni i na żywnienie domu. Gdyby nie Tomaszowa, która praniem zarabiała i ciulała grosz do grosza, to nie byłoby nieraz przy końcu kwartału czem zapłacić komornego i podatku.

Biedy Tomasz, przypisując owej nieszczęsnej trzynastce całe swoje niepowodzenie zdobył się na krok bardzo śmiały, jak na niego, bo poszedł do magistratu z prośbą o zmianę numeru. Ale panowie urzędnicy wyśmiali go tylko, a żądanie jego uważali za tak niedorzeczne, że przypuszczali, iż po pijanemu uroił to sobie i kazali mu iść wyspać i wytrzeźwić się.

Nie było więc rady pozbyć się nieszczęsnej trzynastki, chyba wyrzekając się całkiem doróżkarstwa. Tomasz i na to był już przygotowany. Miał zamiar rzucić zajęcie, które mu się tak źle opłacało, a wziąć się do czego innego.

Ale właśnie wtedy, gdy powziął rozpaczliwe postanowienie, szczęście nagle uśmiechnęło się do niego. Wszedł w znajomość z lokajem jakiegoś wielkiego pana; lokaj przy szklance piwa i pogawędce, gdy Tomasz, jak zwykle, zaczął narzekać na swoje psie nieszczęście, zaproponował mu zarobek duży, pod warunkiem, że się będzie z nim dzielił groszem.

— Pan mój — mówił mu — lubi mieć swojego własnego doróżkarza, coby od rana do późnej nocy był na jego usługi, na każde zawołanie. Nieraz trafi się, że konie wasze cały dzień nogą nie ruszą, a płatni będziecie, jak za jazdę, zarobek więc będzie niezły i pewny, bo pan jest bogaty i płaci hojnie; tylko nie trzeba wam tego mówić, ręka rękę myje — ja także potrzebuję żyć...

Tomasz, ma się rozumieć, przystał na propozycją dzielenia się zarobkiem. W jego położeniu i to jeszcze było nadzwyczajnym szczęściem. Bał się tylko, czy ów pan nie złąknie się owej trzynastki, ale mu lokaj powiedział, że wielcy panowie nie znają i nie mają takich przesądów, że jego pan jest tak bogaty i szczęśliwy, iż nie potrzebuje się obawiać nieszczęścia i gdyby nawet dowiedział się o tej fatalności trzynastki, to umyślnie nie rozstawałby się z nią naprzekór przesądowi, aby pokazać ludziom, że sobie drwi z ich głupich przesądów.

I tak się stało w samej rzeczy. Ów pan Hulatyński jazdę doróżką, którą opinia uważała za przynoszącą nieszczęście, uważał za rodzaj sportu, który namiętnie uprawiał. Przez niego doróżka nr 13 stała się głośną i modną w wielkim świecie. Należała do szyku i dobrego tonu rozbijać się nią po mieście, i młodzi paniczycy, tak zwana złota młodzież, szczególnie najmłodsza, która dopiero wchodziła w życie i chciała się pokazać, dobijała się do tej doróżki, gdy była wolną, co się zdarzało albo w czasie nieobecności Hulatyńskiego, lub przed południem, gdy się wysypiał po nocnych hulankach.

Tomaszowi aż w głowie się mąciło od tej nagiej zmiany losu. Nie tylko przez cały dzień miał zarobek pewny i stały, ale jeszcze i hojne datki na piwo sypały mu się obficie z rąk bogatej młodzieży i Hulatyńskiego. Hulatyński nie rachował się wcale z wydatkami i nieraz jak mu przysła fantazyja, pięć, dziesięć guldenów rzucił doróżkarzowi.

Prawdziwy deszcz pieniędzy sypał się na Tomasa, odurzonego tem swoim niespodziewanem szczęściem. Odpowiednio do dochodów i do stanowiska panów, z którymi teraz jeździł, odnowić kazał powóz, kupił lepszą parę koni, ubrał je w kolorowe siatki, w nowe szory, w buńczuki. Siebie także przystroił w liberyą z galonami, tak, że wyglądał nie na zwyczajnego doróżkarza, ale na hrabiowskiego stangreta. Już teraz byle komu nie pozwolił wsiadać do swej doróżki, i gdy się zbliżył jaki chudzina z zamiarem wsiadania, wręcz mu oświadczał, że nie pojedzie, bo zajęty. Powodzenie uczyniło go dumnym. A może też odpłacał się ludziom za lekceważenie i niepowodzenie, jakiego przedtem doznawał.

Za to dla sprawcy swego szczęścia, Hulatyńskiego, był prawie z bałwochwalcem uwielbieniem. Gdyby był najsmutniejszy, najbardziej czem zagniewany, na widok jego rozjaśniał twarz opaloną, jakby ją wschodzące słońce oświetliło. „Jego pan” — bo tak go nazywał, — był dla niego wszystkim. Myślał tylko o tem, czem go uradować, jaką przyjemność ma sprawić. Dla niego umyślnie kazał wnętrze powozu wybić zielonem sukniem, gdy się dowiedział, że ten kolor lubi. Woził go tak z ostrożnością, jak chorego albo dziecko, żeby przypadkiem o kamień nie zawadzić. Przy zmianie powietrza stawał od razu budę, zamykał okna, żeby wiaterek na niego nie wionął, albo deszcz go nie pokropił, a gdy go wysadzał z powozu, to tak delikatnie, z takim uszanowaniem, jakby bóstwo jakie. Nie pozwolił mu postawić nogi na stopień, dopóki go dobrze z błota, nie oczyścił, a gdy wypadło wysiadanie w miejscu błotnistem lub zawianem śniegiem, brał swego dobrodzieja, jak dziecko na rękę i przenosił na suche miejsce.

Hulatyński nazywał go idealnym furmanem, i odpowiednio do usług, wynagradzał z królewską hojnością; nie był on ani hrabią ani nawet baronem, ale żył jak prawdziwy magnat w zbytku i wygodach wszelakich, a pieniądze rzucał bez rachuby. Miał zachcianki wielkiego pana i tyle pieniędzy, że mógł najwybredniejsze zachcenia zaspakajać. Ceniono go na kilkakroć sto tysięcy guldenów. Nikt wprawdzie nie rachował jego fortuny, ale wnosząc z tego, jak żył, co wydawał, można było przypuścić wielkie dochody. Miał przy tem wykwiłtne maniery, znamionujące lepsze pochodzenie, mówił po francusku jak rodowity Francuz, był przystojny, wymowny, przyjacielski, wesoły, i te przymioty jednały mu serca mężczyzn i względy kobiet, a zarazem otworzyły drzwi salonów wielkiego świata, do których wszedł bez zakłopotania, z miną bywalca oswojonego z tego rodzaju towarzystwem i czującego się na swoim miejscu.

Był tak „dobrze”, że świat wyższy uznał go za swego, choć pochodził tylko ze szlacheckiej rodziny, bo był gentlemanem w każdym calu, robił wszystko z „nonszalancyą” prawdziwie pańską i z wdziękiem salonowca. Nawet z wdziękiem grywał w klubie, gdzie go przyjęto jednogodnie i gdzie bywał dość częstym gościem. Tak sobie nic robił z przegranej nawet większej sumy, tak nie znać było na jego twarzy z tego powodu żadnego wzruszenia, żadnej zmiany humoru, że najwytrawniejsi gracze podziwiali jego zimną krew

i lekceważenie pieniędzy. Z tego powodu domniemywano się, że w nim musi płynąć krew o wiele szlachetniejsza, niż ta, jaką mógł dostać po zwyczajnym szlagonie, — bo tak przegrywać może tylko pan z panów.

A trzeba dodać, że przegrywał dość często. Miało to oznaczać niby, że był szczęśliwym w miłości. Nie było w tem nic dziwnego. Uroda jego bowiem zwracała powszechną uwagę i damy w salonach przepadały za nim, począwszy od starych matron, w których ręce składał hojne ofiary na cele dobroczynne, aż do młodych mężatek, które czarował rozmową i spojrzeniem.

Tomasz mógłby coś więcej powiedzieć o tem szczęściu Hulatyńskiego, ale od niego nic się dowiedzieć nie można było, bo milczał jak grób i za nic w świecie nie zdradziłby tajemnic swego pana.

— Cóż mnie też to tam obchodzi! — odpowiadał przyparty nieraz natrętnemi pytaniami znajomych Hulatyńskiego, — jak się mój pan bawi i z kim się bawi! Panowie są zwyczajnie od tego, żeby się bawili, a my żebyśmy zarabiali.

Byli jednak tacy, którzy go wypatrzyli, że w ostatnich czasach miał romans z żoną jakiegoś agenta win francuskich, który z powierzchowności wyglądał jak czarny charakter, z prowincjonalnego teatru, a zazdrosnym był podobno, jak Otello o swoją żonę, blondynkę złotowłosą, co miała twarz wandyczkowską, a kształty piękności Rubensa. Gdy szła ulicą, co się rzadko zdarzało, ludzie stawali i oglądali się za nią. Opowiadano o jakimś podziłym lowelasie, że zapatrzonej w nią, nie uważał stojącego na ulicy nad rynsztokiem wózka, potknął się o niego, przewrócił i złamał nogę. W teatrze, gdzie także bardzo rzadko się ukazywała, lornety, jak armaty, kierowały się w jej stronę i ostrzeliwały ją ognistemi spojrzeniami. Ponury mąż miał dosyć powodów drżeć o swój skarb; więc też czarne jego oczy, jak dwaj niewolnicy, szły krok w krok za każdym jej spojrzeniem, ruchem, i pilnowały jej bacznie.

W jaki sposób Hulatyńskiemu udało się omylić czujność tych argusowych oczu i zaprzyjaźnić się z cudowną blondynką, to było dla wszystkich niewytłumaczone. Fakt jednak był, że się widywali w godzinach, w których męża obowiązki powoływały gdzieindziej.

Ktoś, zazdroszcząc zapewne Hulatyńskiemu szczęścia, zawiadomił męża anonimem o tych spotkaniach i wycieczkach za miasto. Mąż, rozumie się, pojechał w ślad za niewierną żoną i jej kochankiem... i — tu urywa się wszelki wątek dokładnych wiadomości, a zaczynają się najdziwniejsze pomysły. Mąż bowiem, wbrew oczekiwaniu wszystkich, zamiast zabić żonę lub Hulatyńskiego na miejscu, sam nazajutrz wyjechał z miasta, zostawiając żonę na wolę losu.

Hersz Lander, faktor i bankier złotej młodzieży, a tem samem znający wszystkie sekreta świata eleganckiego, utrzymywał, że mąż kazał sobie grubo za ustępstwo zapłacić (mówił coś o trzydziestu tysiącach), że Hulatyński nie mając na razie gotówki, wystawił weksel, aby wyswobodzić ukochaną z rąk mściwego tyrana, że tyran ów weksel zrealizował zaraz u jednego z bankierów, znajomego Hersza, gdzie go on widział na własne oczy, Ale mało kto wierzył temu gadaniu. Hersz, Żyd, geszefciarz, po żydowsku rozwiązał sobie cały zatarg, według własnych pojęć finansowych, to jest procederem wekslowym.

Po odwadze Hulatyńskiego spodziewano się innego rozwiązania. Przypuszczano pojedynki, nawet pojedynki amerykański, w skutek którego zapewne mąż wyjechał i zastrzelić się gdzieś musiał. Były to domysły tylko, które sprawdzić było trudno. To tylko było pewnem, że po zniknięciu zazdrosnego męża, zażyłość między jego żoną, a Hulatyńskim stała się jawną. Nie uważali teraz za potrzebne robić z tego sekretu przed światem ku wielkiemu zgorszeniu mam, które miały córki na wydania i liczyły na Hulatyńskiego za świetną partya.

Te to damulki zapewne nasylały mu bezimienne ostrzeżenia, żeby się miał na ostrożności i wycofał póki czas z sieci, które zastawiono na niego, że dama owa nie jest wcale żoną owego agenta win, ale awanturnicą, łapiącą niedoświadczonych ludzi na lep swoich wdzięków.

Hulatyński z drwiącym uśmiechem czytał te ostrzeżenia i rzucił je pogardliwie w ogień. Nie wywierały one na niego żadnego wpływu. Gorsze nierównie ostrzeżenia dawało mu jego własne serce, stając się codziennie chłodniejszym i obojętniejszym dla tej precudnej kobiety, której mu cały świat zazdrościł.

Dopóki była strzeżona przez męża, że ledwie kiedy niekiedy mógł ją widywać, dochodził prawie do szaleństwa; nie było ofiary, którejby nie poniósł, aby mógł tę kobietę nazwać swoją. Ale teraz, kiedy spełniły się jego marzenia, gdy ją mógł widywać bez przeszkód, być przy niej jak długo mu się podobało, spostrzegł ku wielkiemu swojemu zmartwieniu, że to była chwilowa namiętność, sztucznie podtrzymywana przeciwnościami, nie zaś miłość prawdziwa, że to kobieta o klasycznych kształtach i piękności bez zarzutu, robi na nim wrażenie posągu, z którym opatrzyć się można i patrzeć nań bez wzruszenia i zachwytu. Zaglądał do niej raczej z przyzwyczajenia, niż z miłości, a nie porzucił chyba tylko przez poczucie obowiązku, po swojemu tłumaczonego. On zwichnął życie tej kobiety, rozerwał związki małżeńskie łączące ją z mężem, a lubo ten mąż był nikczemnym, skoro się zdecydował na sprzedaż własnej żony (a więc wiadomości Hersza Laudera były prawdziwe), jednak wypadek ten osamotnił ją, i on jako sprawca tego, winien jej był opiekę.

Poczucie honoru i litość nakazywał mu udawać przywiązanie, zachować przynajmniej jego pozory. Umyslnie więc pokazywał się z nią publicznie, otaczał ją zbytkiem i przepychem, osypywał kosztownymi prezentami. Nawet mówiono, że zabezpieczył jej rentę dożywotnią na wypadek swej śmierci. Robił więc wszystko co mógł, aby wynagrodzić jej ofiarę, jaką poniosła dla niego, oddając mu swój honor, samę siebie z duszą i ciałem. Nie mógł tylko dać jej miłości swojej, bo tej nie czuł dla niej. I to go martwiło, bo za uczciwy był, by mógł zwodzić z lekkim sercem.

To go tylko pocieszało, że ona nie domyślała się wcale udawania z jego strony. Sam sobie nie umiał zdać sprawy z tego, czy jej spokój w tym względzie pochodzi ze zbytecznej wiary w niego, czy z braku myślenia i wszelkiego sprytu.

Dziwna to była kobieta, prawdziwy sfinks. Oczy jej ciemne, głębokie, rzuciły blaski, które olśniewały, ale nie ogrzewały i nie rozpalały. Mówiła mało i trudno było wyrozumieć, czy tak dużo myśli, czy tak mało ma do powiedzenia, — czy tak ostrożna w słowach, czy taka ograniczona w myślach.

Hulatyński bał się ją badać w tym względzie, by przypadkiem pod temi cudownymi wdziękami nie dojrzał płytkości tam, gdzie się głębi duszy domyślał. Chciał się ludzić jej wartością, aby mógł ją dłużej ludzić swem przywiązaniem.

## II

Była godzina druga po północy. Przed mieszkaniem Hulatyńskiego czekała jak zwykle, doróżka nr 13-ty, rzucając na bruk ulicy wachlarzowate promienie światła z latarni. Po między latarniami w ciemności drzemał na koźle Tomasz, a konie zmęczone całodzienną jazdą, drzemały także, zwiesiwszy łby na dół. Czasem tylko przestępując z nogi na nogę, uderzały kopytami o kamienie, a łoskot tego uderzenia rozchodził się echem po całej ulicy.

Pokoje Hulatyńskiego na pierwszym piętrze były rzęsiście oświetlone. Spóźniony przechodeń byłby przysiągł, że tam jakaś większa zabawa się odbywa. Tak często bywało, że w pokojach tych bankietowano do rana. Hulatyński miał dużo przyjaciół — i lubił ich raczyć u siebie. Wczoraj dopiero był wspaniały bankiet.

Dziś jednak pomimo rzęsiściego oświetlenia, pokoje były puste. Hulatyński sam jeden przechadzał się po nich, jakiś dziwnie zamyślony i poważny, co mu się rzadko zdarzało. Otwierał różne szuflady, schówki, wyjmował z nich świstki, listy, kawałki papierów, fotografie, — przeglądał to wszystko, potem darł w kawałki, miał w rękę i rzucał do kominka, na którym płonął jasny ogień.

Niekiedy zatrzymywał się dłużej przy ogniu, przypatrywał się w głębokiej zadumie, jak płomienie obejmowały węzowemi skrętami różnobarwne papiery zapisane, jak wyginały się w palących uściskach płomieni, czerniały i ulatywały w górę, ozłoczone po brzegach iskierkami ruchomemi i nikały w ciemnym otworze kominka. Potem wracał znów spokojny do szuflad otwartych, powtarzając tę samą czynność z innymi papierami.

Wypóżniwszy w ten sposób szuflady biurka, komody, szafy, przejrzał raz jeszcze wszystkie schówki i spojrzął w około, jak człowiek kończący ciężką pracę.

Odetchnąwszy ciężko, powiedział sobie:

— Tak, — to już wszystko...



Zmęczony usiadł, aby odpoczywać. Wyjął pugilares z bocznej kieszeni, wydobyl z niego kilka banknotów po sto reńskich, przeliczył je i schował napowrót, zatrzymując w ręku jeden, który zwinął i włożył osobno do kieszeni od kamizelki.

Po chwili wstał, poszedł do szafy stojącej w głębi pokoju, nacisnął sprężynę wieka i wyjął ze skrytki pudło w safianowej oprawie, w którym na atlasowym miękkim posłaniu połyskiwały błyszczące lufy pistoletów.

Wziął jeden z nich do ręki, potem drugi, — oglądał je po kolei, próbował kurki, dmuchał w lufy, ważył w ręku, jakby wahając się niezdecydowany, który ma wybrać. Nareszcie wybrał jeden, nasypał prochu, wpuścił do wnętrza ołowianą kulę, przybił mocno pakułami i pistolet włożył w kieszeń surduta. Safianowe pudełko zamknął, postawił na dawnym miejscu i zatrzasnął napowrót wieko od skrytki.

Dokonawszy tych czynności, obejrzał się raz jeszcze po pokoju, jakby się namyślając, czy czego nie zapomniał, jakby żegnając wzrokiem ściany i sprzęty, wśród których przeżył tyle chwil przyjemnych i wesołych. Wspomnienia te zatrzymały go dość długo. Potrzebował pewnego przymusu, aby się rozstać z niemi. Na koniec prędkim krokiem wyszedł do przedpokoju.

Zaspany lokaj Franciszek zerwał się na równe nogi, i machinalnie, jeszcze nie zupełnie przytomny, podał mu palto.

— Czy jasny pan prędko wróci? — zapytał wychodzącego.

— Nie prędko. Zgaś światło, i możesz położyć się spać.

Lokaj sprowadził go na dół z świecą i otworzył bramę.

Zgrzyt klucza w zamku obudził śpiącego doróżkarza, który coprędzej ściągał lejce i poprawił się na koźle.

— Na Starowiślną, — rzekł Hulatyński, siadając do doróżki.

Tomasz nie potrzebował bliższego objaśnienia. Wiedział, że na tej ulicy mieszka owa piękna pani, z którą pan jego się spotykał. Znał on niektóre szczegóły z tej sprawy. Podobne rzeczy, gdyby się przytrafiły w niższej klasie, gorszyły by go niesłychanie; ale dla panów Tomasz miał inną miarę sądu. Nie dziwił się więc niczemu, nie gorszył się niczem, i był ślepy i głuchy na wszystko, co widział i słyszał.

Zaciął konie, i powóz potoczył się z turkotem po bruku, rzucając w przelocie światło latarni na zamknięte bramy kamienic i spóźnionych przechodniów.

Na Starowiślniej zatrzymał się przed jedną kamienicą, w której na pierwszym piętrze widać było światło za zielonemi storami.

Hulatyński wysiadł spieszenie, wyjął klucz z kieszeni i zbliżył się do bramy. Nie otworzył jednak, i po chwilowym namyśle, schowawszy na powrót klucz do kieszeni, wrócił do doróżki.

Nie poszedł na górę, choć wiedział, że czekano tam na niego. Nie wiadomo, czy sobie, czy komu innemu chciał oszczędzić przykrości pożegnania.

— Gdzie mam jechać, proszę jasnego pana? do resursy?

— Nie. Jedź przez Wiślną za miasto — rzekł otulając się w palto, bo wiatr chłodny pociągał od rzeki.

Tomasz widząc, że się na dalszą jazdę zanosi, postawił budę, zamknął okna i puścił konie galopem.

Noc była ciemna wilgotna, niebo zakryte brudnymi chmurami, na polach tu i owdzie leżały jeszcze śniegi i bielily się wśród ciemności, jak płachty porozrzucane; wiatr szumił gałęziami drzew stojących przy drodze. Hulatyński wół leżąc puścił wodze myślom, które blakając się samopas, cofnęły pamięć jego do czasów pierwszej młodości, gdy jeszcze jako dzieciak wychowywał się w towarzystwie bon Francuzek i Niemek. Matkę pamiętał bardzo mało, odumarała go wczesnie. Ojciec nie zajmował się nim wiele, bo rzadko przebywał w domu, chyba gdy goście zjechali się do niego. Wtedy było huczno, wesoło, bo ojciec lubił się bawić. Tam tylko jeździł, gdzie mógł wesoło czas spędzić, z jarmarku na odpust, z imienin na wesele, to znowu za granicę do wód. Raz tylko dłuższy czas przez — parę miesięcy siedział w domu. Było to w czasie, gdy przywiózł dla syna nową bonę Francuzkę, z zadartym noskiem, jasnymi krętymi włosami i figlarnym uśmiechem.

Hulatyński, choć dziecko wtedy, zauważył, że miała oczy jakby z bławatków wykrojone, a rączki małe, delikatne w dotknięciu, jak listeczki, i drobne paluszki. Pamiętał dobrze te paluszki, bo się niemi nieraz przy lekcyi bawił i całował. Co kilka dni widział na tych

drobnych paluszkach nowe pierścionki, z najrozmaitszemi kamykami, które błyszcząły jak gwiazdki. Później dowiedział się, że to były brylanty wielkiej wartości. Raz zobaczył u niej pierścionek, który widywał przedtem u ojca na małym palcu. Gdy jej zapytał, z kądem ten pierścionek wziął się u niej? — roześmiała się dziwnie, i powiedziała, żeby nie był zbyt ciekawym, bo nie urośnie.

Potem ludzie zaczęli mówić we dworze, że będzie miał nową mamę. Cieszył się bardzo z tego. Ale nagle pewnego dnia Francuzka wyjechała, nie pożegnawszy się z nim nawet. Płakał po niej, pobiegł do ojca z prośbą, żeby wróciła, co ojca w taki gniew wprawiło, że go wyrzucił za drzwi.

Następnie przypomniał sobie guwenera, także Francuza, którego sprowadzono dla niego, gdy miał lat szesnaście. Był to bardzo wesoły chłopak; śpiewał po całych dniach przeróżne zabawne piosenki, które mu łatwiej wchodziły w głowę niż nauka. Jeździł razem konno, polowali na różną zwierzynę, a dopiero w chwilach wolnych od tych zajęć coś tam czytali z historii lub z nauk przyrodniczych, więcej jednak romanse i powieści dla stylu i wprawy w języku.

Wesoły ów Francuz zawiózł go raz do miasta, żeby zobaczył cyrk. Młodemu chłopcu, który nigdy nie widział kobiet obnażonych, gorąco się zrobiło na ten widok. Goręcej mu jeszcze było, gdy się znalazł w towarzystwie tych dam po widowisku w restauracji. Wprawdzie były już wtedy ubrane, jak każda inna przyzwoita dama; ale Adaś — to było imię jego, — patrząc na nie, mimowoli uprzytomniał je sobie w myśli w kostiumach, w jakich je przedtem widział.

Często potem robił wycieczki do miasta, rozumie się w towarzystwie guwenera. Wesołe kobietki bawiły się nim wybornie przy kolacyjce, nazywały go swoim małym. Ale kolacyjki takie kosztowały nie mało i pensyjka, którą dostawał od ojca wnet się wyczerpała, o nową nie śmiał mówić. Francuz znalazł i na to sposób: powiedział mu, gdzie ojciec chowa kluczyk od pieniędzy, i wytłumaczył, że ani spostrzeże ubytku, bo tatko ma dużo pieniędzy.

Jakoż istotnie ojciec długo nie spostrzegł, a Adaś był kontent, że mógł woltyżerkom zaimponować. Szczególniej jedną, miss Betty, upodobał sobie najwięcej płacił jej długi, kupował branzolety, kolczyki, chciał nawet uciekać z nią na koniec świata. Niestety jednak ojciec spostrzegł znaczny ubytek pieniędzy i kosztowności, a doszedłszy kto mu brał pieniądze, na co i za czujną namową, Francuza wypędził, jego zaś oddał do Jezuitów na wychowanie.

Był tam lat parę i porobił znajomości z synami arystokratycznych rodzin, co mu później ułatwiło wejście w progi tak zwanego „wielkiego świata”. Od koleżków swoich nauczył się jeszcze więcej, niż od Francuza i miss Betty. Burzliwe życie zaprowadziło go następnie do zimnych wód na kurację. Ojciec jego zachorował także w tym czasie na jakąś chorobę nerek, która zakończyła się śmiercią. Synowi niepełnoletniemu wyrobiono pełnoletność i oddano majątek w ręce.

O tym majątku powtórne chodziły wieści. Wprawdzie w spisie notaryalnym figurowała tylko suma trzykroć pięćdziesiąt tysięcy, ale to był tylko majątek po matce. Starego Hulatyńskiego zaś nazywano powszechnie milionerem. Nikt nie przypuszczał, że hulaszczcze życie ojca pochłonęło ogromną fortunę, a młody spadkobierca był tyle próżnym, czy ambitnym, że nie zdradził tego sekretu przed ludźmi i pozwalał domyślać się Bóg wie jakich skarbów, odebranych ciepłą ręką od ojca.

Pochlebiali mu to, że uchodził za milionera, i zaczął żyć, jak milioner. A że procenta nie wystarczały na takie życie, więc co rok dobierał sobie z gotówki. W ten sposób majątek jego zmniejszał się co rok. Nie robił sobie nic z tego, i nie zmienił trybu postępowania, trzymając się zasady, że lepiej żyć krótko, a dobrze, niż długo a bylejąko. Żył więc i używał nie rachując się z wydatkami.

Szalona hojność jego zwracała uwagę wszystkich, jednała mu przyjaciół, uwielbiany był bohaterem w swoim rodzaju, którego palcami wskazywano na ulicy, o którym dziwy opowiadano w salonie. Ta sława odurzała go i szalała jeszcze więcej. Ułożył sobie w myśli, że będzie tak żył dopóki będzie można, dopóki mu starczy na wszystko, a gdy cały majątek wyczerpie się do dna, wtedy nic życia się przerwie i *finita la comedia*. Skończy, jak meteor.

Teraz właśnie doszedł do takiej ostateczności.

Oprócz mebli, wartujących do sprzedania z parę tysięcy, miał całego majątku jeszcze tyle, że mógł zapłacić służbę, mieszkanie i wyprawić lukulusową biesiadę dla przyjaciół. O tej biesiadzie miejscowe gazetki rozpięły się szeroko, wygłaszając na rzecz jego szumne panygiryki, w których było o „iście staropolskiej gościnności”, „uczcie Wierzyńka” itd. Uczta owa odbyła się wczoraj, dziś po niej zostało mu w pugilaresie zaledwie kilka setek. Z tych jedną odłożył dla doróżkarza za ostatnią jazdę w życiu; reszta miała wystarczyć na kosztą pogrzebu.

Przygotował się do tego aktu z drobiazgową dokładnością. Popalił, jak widzieliśmy, listy, fotografie, rewers, aby śladu nie było jego interesów i stosunków; porozdawał kosztowniejsze cacka w upominku znajomym; przygotował nawet piśmienne zeznanie, że umiera z własnej woli, aby kogoś nie posądzono po jego śmierci. Nie wymienił tylko powodów, który go do tego skłonił, zostawiając ludziom szerokie pole do domysłów, Zeznanie to w kształcie listu miał przy sobie.

Wszystko było w porządku. Skończył rachunek z ludźmi.

Przechodząc myślą wszystkich znajomych, dziwił się sam sobie, że między nimi nie było ani jednej osoby, ku której byłoby mu tęskno w tej chwili, z którąby mu było żal się rozstać. Bawił się w ich towarzystwie doskonale, a jednak rozstawał się bez żalu, bo żadna nie zapisała się głębiej w jego pamięci i sercu.

Z całego życia hucznego hulaszczego nie zostało mu nic, coby było warte łzy, wspomnienia serdeczniejszego. Całe życie przebyte wydawało mu się dziwnie pustem, bez treści; dla tego rozstawał się z nim na zimno, delektując się myślą, że nie długo będzie koniec wszystkiemu.

Zdrów i jeszcze pełen sił jechał na własny pogrzeb; w jednej osobie był sędzią, co podpisuje wyrok śmierci, katem, co wyrok spełnia i delinkwentem, na którym będzie spełniony.

Miejsce egzekucji wybrał za miastem, aby umrzeć bez świadków, aby nikt nie usłyszał ostatnich jego jęków, nie usiłował go ratować. Wszystko obmyślił na zimno, z odwagą żołnierza, idącego do boju. Śmiało spoglądał śmierci w oczy, bo życie nie miało już dla niego wartości po stracie pieniędzy. Nie było już czem podtrzymać płomienia w pełnym blasku, więc należało go zdmuchnąć od razu, aby nie było swędu i długiego konania.

Upatrzył sobie od dawna na spełnienie tego czynu świerkowy las Bielański. Gdy więc dojechali do karczmy pod tym lasem, kazał woźnicy zatrzymać się i wysiadł.

— Masz — rzekł, wciskając mu w rękę banknot stureński. — Nie mam drobnych, — dodał szybko, widząc, że doróżkarz ze zdziwieniem spojrzął na banknot przy świetle latarni. — Porachujemy się później.

— Karczma zamknięta, może zapukać? — rzekł Tomasz, gubiąc się w domysłach.

— Nie potrzeba — odpowiedział Hulatyński — i ty wracaj do miasta.

— Jakto? Jasny pan nie wróci?

— Wrócę później.

— To zaczekam.

— Głupiś, będziesz czekał do rana?

— A choćby. Jak pan każe.

— Ja ci każę, żebyś jechał, bo się nie doczekasz. Bądź zdrów!

Powiedział te słowa ostro, krótko aby przerwać od razu rozmowę, która go niecierpliwiła, — i puścił się ścieżką w głąb lasu.

Tomasz patrzył za nim, nie rozumiejąc nic z tego, co się działo. Wydawało mu się być dziwnem, że taki wielki pan wałęsa się po nocy w lesie, jak włóczęga.

— Skąd jemu to przyszło? — myślał sobie. — W tem jest jakaś nieczysta sprawa. Albo mu się rozum pomieszało?... Kto wie? — dodał z trwogą. — Wielkim panom od zbytków i dobrego jedzenia często się w głowie przewraca... Tylko on na waryata nie wyglądał.

Po chwili znowu zaczął mówić do siebie:

— Niech on sobie co chce mówi, ja taki zostanę. Jak mu zimno dokuczy, to on tu w dyrdy przyleci.

Przed karczmę nadciągnęli Żydzi, jadący na jarmark, zrobił się ruch, w oknach szynkowni błysnęło światło.



Tomasz wyjął worek z podsiedzenia, dał koniom jeść i poszedł do karczmy na kieliszek gorzałki dla rozgrzania. Nie mógł jednak dosiedzieć w izbie, niepokój o pana wyciągnął go znowu na drogę. Stał na ścieżce, wiodącej do lasu i nadsluchiwał, wpatrując się w ciemności.

Wiatr świszczął i gwizdał po lesie, uderzając co chwila niedomkniętą okiennicę na strychu karczmy, poruszał skrzypiącym żurawiem nad studnią. Chmury goniły się po niebie, jak duchy, odsłaniając kiedy niekiedy kawałek księżyca. Coś pogrzebowego i smutnego było w jego bladym połysku.

Tomaszowi aż się niedobrze zrobiło koło serca, jakieś dreszcze niemiłe zaczęły mu chodzić pod skórą.

— Gdzie to polazł na taki czas, na takie błoto? — mruczał. — Ci panowie mają czasem dziwne fanaberye. Roboty im się przebiera, nie wiedzą już co wymyśleć.

Wtem w głębi lasu rozległ się strzał.

Tomasz zdrętwiał z przerażenia. Odrazu przyszedł mu na myśl pojedynek. Nieraz już woził różnych panów na takie awantury, ale to bywało w dzień wczesnym rano, nigdy w nocy. Nikt po ciemku przecież nie strzela, chyba rabuś albo zły człowiek. A może spotkał wilka i strzelił dla postrachu?

To przypuszczenie wydawało mu się prawdopodobniejszem i uspokoiło go trochę.

Wtem naraz z wiatrem, zalatującym od lasu, doszedł go jęk stłumiony.

Nie namyślając się dłużej, Tomasz puścił się prosto przez zagony ku lasowi w tym kierunku, z kąd go jęk doleciał.

Biegając zadyszany tu i tam, wreszcie pod skałą na kupie szczerniałego śniegu, znalazł swego pana leżącego i charczącego. Przy niepewnym i mdłym świetle księżyca zobaczył twarz jego bladą, krwią oblaną.

— Na rany Boskie! co się panu stało? — spytał, nachylając się nad nim i chwytając go rękoma.

Naraz urwał, po prawej jego ręce namacał ciepłą jeszcze lufę pistoletu, która mu odpowiedziała na pytanie.

Pocziwy Tomasz zdrętwiał z przerażenia.

— Bój się pan Boga, coś pan zrobił? Czy to się godziło? A toż to grzech wielki!

Hulatyński nie odpowiadał. Leżał z przymkniętymi oczyma, bo nie śmiał patrzeć w oczy doróżkarza. Wstyd i upokorzenie, jakiego doznawał w tej chwili pomarszczyło mu czoło w ponure fałdy, nie wstydził się czynu, którego się dopuścił, tylko swojej niezgrabności. W stanowczej chwili ręka widocznie zadrżała, albo pistolet szarpnął, i strzał wyszedł bokiem, rozerwawszy policzek. Tego nie przewidział.

— Dobij mnie — wybełkotał niewyraźnie, bo krew zalewała mu usta i mówić przeskadzała.

— A czy ja to zbój jaki? Niechże mnie ręka boska broni! Pan Bóg widać łaskaw na pana, skoro nie dopuścił stracenia duszy i ocalił pana.

Pociecha ta przeraziła rannego. Obiecywano mu życie, kiedy on śmierci pragnął, bo dalsze życie było według jego pojęcia niepodobieństwem.

— Zostaw mnie, idź precz! — zawołał gwałtownie, bo perswazye Tomasza i jego obecność drażniły go.

Nie wiedział jeszcze, co pocnie z sobą, chciał jednak pozbyć się natrętnego świadka.

Ale Tomasz nie dał się tak łatwo odpędzić. Psa postrzelonego nie minąłby obojętnie na drodze, cóż dopiero jego, któremu zawdzięczał swój los, swoje szczęście?

Plącząc, zaczął go po rękach całować i uspakajać.

— Niech się pan nie martwi — mówił. — Ludzie nie dowiedzą się o tem, Tomasz umie milczeć. Zawiozę pana do siebie. Moja służyła w szpitalu i umie obchodzić się z ranami. Wygoi się i nikt nie będzie wiedział.

Hulatyński już nie słyszał tych wyrazów: upływ krwi odebrał mu przytomność. Tomasz z przestachem spostrzegł to i wziął się do ratowania. Przyłożył śniegu na twarz dla zatamowania krwi, obwiązał chustką. Robił to bardzo niezręcznie, bo był niewprawny i ręce trzęsły mu się z wzruszenia, ale ostatecznie obwiązał jako tako i owinął szalem.

Ból i zimno ocuciły chorego, jęczał cicho.

Tomasz wziął go na ręce, jak dziecko i zaniósł do powozu, — a potem nogą za nogą ruszył do miasta.

### III

Dziwnego uczucia doznał Hulatyński, gdy po trzech tygodniach, które przeleżał nieprzytomny, w silnej gorączce, w mieszkaniu Tomasza, nareszcie przyszedł do siebie.

Izdebka, w której go umieszczono, jakkolwiek wybielona i porządnie utrzymana była mała, niska, ściany miała pogieęte od starości, a jedno jedyne okienko z małymi szybami, które wychodziło na rzeczkę Młynówkę, płynącą poza domem, zasłonięte jakimś kawałkiem zielonego perkalu, nadawało jej kolor zielonawy, brudny.

Hulatyński nigdy w życiu nie znajdował się w takim nędznym pomieszkaniu, przyzwyczajony do wspaniałych pokojów, dywanów, aksamitnych mebli, do zbytku i elegancji, ze wstrętem przyglądał się nagim ścianom i ubóstwu, które wyglądało tu z każdego kąta.

Nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie się znajduje. Nic bowiem nie pamiętał co się z nim stało od czasu, gdy po niefortunnym strzale upadł na ziemię w lesie Bielańskim.

Jak na nieszczęście, właśnie nie było nikogo w domu, coby go objaśnił. Tomasz, jak zwykle, wyjechał rano na miasto, a żona jego poszła na strych wieszać bieliznę. Nikt się więc nie pokazał, choć parę razy wołał. Ta cisza i pustka przerażały go. Ciemna izdebka wydawała się grobem, w którym on leży jak pogrzebany w letargu, zapomniany przez wszystkich.

Podniósł się z trudnością na łóżku, uchylił firanki i wyjrzał. Potrzebował przekonać się, że nie jest żywcem pogrzebany.

Widok, jaki zobaczył, nie wiele go rozweselił. Rzeczka w ocembrowaniu czarnych, przegniłych desek, płynęła tuż pod oknem, brudna, rudawa, a za nią ciągnął się z drugiej strony wysoki mur klasztorny, który nadawał miejscu pozór więzienia i rzucał cień ponury.

Chory co prędzej opuścił firankę i odwrócił się. Ten ruch sprawił mu ból w twarzy. Chciał się dotknąć miejsca, które go zabolalo, i trafił ręką na bandaż, którymi twarz jego była spowita aż pod oczy, jak mumia.

Ból wywołał chwilowe osłabienie. Bezsilny upadł znów na poduszki i leżał tak dość długo, wodząc oczyma, po zielonym pułapie, z którego cienki tynk odlatywał na kołdrę od czyjegós stąpania na strychu, na obrazy świętych, wiszące rzędem obok siebie na przeciwległej ścianie, oraz na szafę, stojącą krzywo w kącie.

Wydziwić się nie mógł, jak ludzie mogą mieszkać w takich lepiankach i nie zbrzydzić sobie życia, bo przecież okropnem być musi tak żyć, tak mieszkać.

Rozmyślaniom jego wtórował jednostajny chód zegaru za ścianą i bełkotanie rzeczki o drewniane cembrowanie.

Naraz tę ciszę przerwały jakieś dziecinne wesołe głosy i śmiech srebrzysty, który się odezwał w drugiej izbie. Z przyjemnością przysłuchiwał się tym objawom życia, a zarazem dziwił się, jak można tak w nędznym mieszkaniu śmiać się i weselić.

Śmiechy te wnet ktoś uciszył surowym napomnieniem, a po chwili uchyliły się drzwi, i weszła przez nie kobieta niemłoda w czepcu, ze wzrokiem utkwionym w niego.

Gdy zobaczyła, że on się jej badawczo przyglądał rozjaśniła się i rzekła:

— No, chwała Bogu, to już dobrze, skoro pan tak. Oj! mieliśmy tu nie mało strachu o jasnego pana! Mój chciał już doktora sprowadzać, bośmy się bali brać odpowiedzialność.

To opowiadanie starej nie wiele go jeszcze objaśniło, bo nie mógł się domyśleć, gdzie się znajduje. Dopiero, gdy mu powiedziała, że jest żoną Tomasza, przypomniał mu się cały ciąg wypadków.

A więc Tomasz go tu przywiózł, ukrył i wyleczył! Była to przysługa, za którą wcale mu nie był wdzięczny. Wolałby, żeby go był zostawił tam w lesie.

Więc kiedy wieczorem Tomasz powrócił do domu, i dowiedziawszy się, że jego pan już przyszedł do przytomności, wpadł ucieszony, aby mu ucałować ręce. — Hulatyński dość chłodno przyjął te oznaki czułości i zbył go kilku słowami pod pozorem, że jest jeszcze osłabiony i mówić nie może. Miał urazę do tego człowieka, że go ocalił. To ocalenie było stokroć gorsze od śmierci. Cierpnął cały z przerażenia na myśl, co dalej będzie?

Mógł wprawdzie, rzuciwszy pychę z serca, udać się o pomoc do tych, których sam nieraz wspomagał, żądać od tych, których żywił, aby jego teraz żywili, ale za dumnym był na to. Lubił wyświadczać łaski drugim, ale nie zdecydowałby się nigdy żyć na ich łasce. Zarabiać nie umiał, a choćby umiał, nie chciałby, bo uważał to za ublżenie swemu

stanowisku. Tak nisko nie chciał upaść. Pozostawało więc chyba szukać śmierci poraz drugi. Szło tylko o to, aby wybrać taką, któraby go nie zawiodła.

Długo w nocy rozmyślał nad tem, szukając najwygodniejszego i najpewniejszego sposobu pozbawienia się życia.

O pistolecie już ani myślał, bo miał jeszcze żywo w pamięci ową straszną chwilę, gdy wewnątrz jamy ustnej usłyszał ten przerażający huk, który go ogłuszył i odbił się echem równocześnie w czaszce jego i w sercu. Za nic w świecie nie odważyłby się więc doświadczać tego poraz drugi. Zresztą pistolet okazał się zawodnym. Przypomniał sobie różne wypadki samobójstw, o których czytał w romansach francuskich, jak: zaccadzenie, trucizna, śmierć w nurtach wody: ale żaden nie odpowiadał jego chęciom.

Topić się nie mógł, bo umiał pływać. Chybaby uwiązać kamień u szyi. Ale jakiegoż to kamienia potrzeba, aby nie wypłynął! Zresztą widział, że małe szczeniaki topi się w ten sposób, a to zestawienie psa i jego obrzydziło mu ten rodzaj śmierci. Zaccadzenie wydawało mu się nie dość męczkiem. Wszystkie szwaczki w romansach francuskich pozbawiają się w ten sposób życia. Trucizna byłaby najwygodniejszą, tylko idzie o trudność dostania, a więcej jeszcze o dostanie takiej, która zabija na pewno.

Stawał się smakoszem w wyborze śmierci; przebierał, grymasił, jakby tu szło o jakąś smaczną potrawę. Formalnie bawił się myślą o śmierci. Była to zresztą jedyna zabawa, jakiej mógł teraz sobie pozwolić.

Wśród tych rozmyślań usnął, — bardzo późno w nocy, bo prawie nad ranem i miał sen dziwny.

Śniło mu się, że widział balon pływający ponad ogrodami, ponad jakąś wieżą, na której on stał, i widział wiszący z tego balonu długi sznur, który muskał wierzchołki drzew, przesuwał się jak wąż po trawie i zbliżał się do niego, Wtedy uchwycił koniec owego sznura i w chwili, gdy szedł z balonem w górę, zakręcił go sobie koło szyi i uczył się nagle porwanym w powietrze, uniesionym w górę i równocześnie duszonym. Ale duszenie to było tak przyjemne, jakby go kto laskotał. I tak unosił się coraz wyżej i wyżej, między gwiazdy, słońca mleczne obłoki, po których goniły się aniołki, śmiejąc się i hałasując.

Ten śmiech go obudził, — i dziwił się, że po przebudzeniu nie ustawał. Słyszał go wyraźnie w przyległej izbie. Był to ten sam śmiech dziecięcy, który słyszał już wczoraj. Z przyjemnością przysłuchiwał się wesołemu szczebiotaniu dzieci i głośnym, serdecznym uśmiechom, które się dobywały z ich gardziołek, jak tryle słowicze. Przy tem akompaniamencie było mu weselej i widniej.

— Czy to wasze dzieci? — spytał Tomaszowej, gdy po chwili zjawiła się przy jego łóżku z kawą.

— Pewnie panu spać nie dały? — Przekłète bębny! a zaklinałam je, żeby się cicho sprawiały! Ale gdzie to poradzić z tymi zbytnikami! Dziś niedziela do szkoły nie idą, to im się roboty przebiera.

— A dużo macie dzieci?

— To nie moje, proszę jasnego pana, — rzekła z westchnieniem. — Nam Pan Bóg nie dał dzieci. To sieroty po bracie. Wzięliśmy je za swoje, bo nam teraz dzięki Bogu i łasce pańskiej nie źle się powodzi. Jest taki miesiąc, co i stówkę się zarobi na czysto.

— Sto reńskich? — spytał zdziwiony. — I to wam wystarcza, żeby się wyżywić i dzieci posyłać do szkoły?

— Ale gdzieżby tam człowiek wydawał tyle na dom! — rzekła zgorszona podobnym przypuszczeniem. — Jeżeli się wyda z tego połowę, to już bardzo wiele, a resztę mąż zanosz do kasy oszczędności na książeczkę, żeby było na przypadek, czego broń Boże, choroby lub innego jakiego nieszczęścia... Ja także tam mam — mówiła mu przyciszonym głosem, z obawy, żeby kto nie podsłuchał, — złożonych kilkaset reńskich z prania na posag dla Maryni. Jeden urzędnik mi obrachował, że z tego co tam już jest, choćbym już nic nie dokładała, będzie miała po dwudziestu latach dwa tysiące. Ładny grosz! Z takim posagiem będzie się mogła lepiej wydać za mąż. Chłopiec tego nie potrzebuje, bo sobie zapracować potrafi. On już teraz potrafi zarabiać lekcyami. A jakże! ma takich dwóch pędkaków, nie wiele mniejszych od siebie, co ich uczy czytać i pisać i dostaje za to na miesiąc dwa reńskie i szklanek kawy z bułką raz na tydzień. Bo chłopak głowę ma dobrą i objęcie bystre; mam już i ja z niego wyręczenie, bo mi rachunki pisze za pranie.

Hulatyński słuchał to opowiadanie gadatliwej baby, jak się słucha cudownych powieści — coś w rodzaju podróży Guliwera po krainie Liliputów.

Gdy nazywała dwa tysiące reńskich majątkiem, co po dwudziestu latach miał służyć za posag dziewczynie, przypomniało mu się, że on przed kilku dniami posiadał daleko większą sumę, i uważał ją jako ostatnią zapowiedź zbliżającej się nędzy.

Z dalszego opowiadania i poufnych zwierzeń Tomaszowej dowiedział się, że na zebranie owych kilkuset reńskich, z których kiedyś miały urosć dwa tysiące pracowała lat blisko trzydzieści, zbierając po kilkadziesiąt krajcarów tygodniowo. On, który tylko umiał trwonić wielkie sumy, ze zdumieniem i pewnym uszanowaniem począł oceniać tę drobną, mozolną, mrówczą pracowitość to wytrwałe, powolne gromadzenie centów, aby z nich tysiące urosły. Było to dla niego takim samym zjawiskiem, jak owe pokłady kredowe, które się trwożą z milionów i bilionów drobniuchnych żyjatek. Ileż to ciężkich dni pracy, okaleczeń rąk, niespanych nocy, odmawianie sobie różnych potrzeb i przyjemności było potrzeba, aby z lichego zarobku zebrać taką olbrzymią sumę! Bo olbrzymią wydawała mu się ona, gdy się jej przypatrywał przez powiększające szkła własnego zdumienia.

Znał dotąd tysiączki papierowe, których kilkadziesiąt, a nawet kilkaset mieściło się wygodnie w głębi jego niezbyt wielkiego pugilaresu; ale tysiąc złożony z samych krajcarów Tomaszowej wydawał mu się niebotyczną cyfrą, na której widok dostawał zawrotu głowy, przed którą się pochylał z bałwochwalczą czcią.

Również trudnem do uwierzenia mu się wydawało, że można wyżywić cztery osoby przez miesiąc za kilkadziesiąt reńskich. On dziennie potrzebował więcej, choć był niby sam jeden. Stówka dla niego była bagatelny wydatkiem, a piątki i dziesiątki nie miały prawie żadnego znaczenia, rzucał je bez rachuby, jako datki na piwo, gdy tu kilka takich dziesiątek stanowiło podstawę bytu całej rodziny.

I nie dość, że ci ludzie z tak skromnych funduszków siebie utrzymać mogli, ale jeszcze starczyło im na świadczenie dobrodziejstw, na wychowanie sierot i posyłanie ich do szkoły, gdy on przy swoich olbrzymich dochodach nic dobrego nie zrobił w życiu.

Dawał wprawdzie składki na jakieś cele dobroczynne, gdy się o to do niego udawano, sypał nieraz setki na tacę podczas kwesty wielkanocnej, szczególnie tam, gdzie widział ładne buziaki przy stoliku; ale robił to nie z poczucia obowiązku, jeno z fantazyi, a najczęściej dla popisu. Nie obchodziło go wcale, kto i jak korzystać będzie z tych pieniędzy i nie miał prawa do niczyjej wdzięczności. Zresztą dobroczynność taka bardzo skromną rubrykę zajmowała w jego wydatkach. Stokroć więcej kosztowała go taka rzesza przyjaciół, którą karmił przysmakami wybrednemi, poił szampanem, i czynił to nie przez uczucie, jakiejś życzliwości dla tych ludzi, bo przeważnie byli to ludzie tacy, których poznawszy lepiej, nie mógł szanować ani kochać, jeno dla siebie dla własnej przyjemności. I dla dogodzenia tym swoim zachciankom zmarnował cały majątek. I nawet nie przyszło mu nigdy na myśl, że to co robi, jest złem, jest poprostu zbrodnią społeczną. Owszem miał się za uczciwego człowieka, bo nikogo nie okradł i nie pokrzywdził.

Dopiero teraz, gdy los wyrzucił go za koło zaczarowane zbytku i wygodnego używania, gdy się ujrzał pomiędzy ludźmi pracującymi ciężko na chleb powszedni, przyszedł do przekonania, że był pasorzytem, bo się żywił bez pracy, używał życia i pieniędzy dla własnej tylko przyjemności, nie myśląc o drugich.

Co go jednak najwięcej dziwiło u tych ludzi, pośród których znalazł się teraz tak niespodzianie, to ich dobry humor i wesołość. Gdy wieczorem, po całodziennym ciężkiej pracy, cała rodzina zasiadła do wieczerzy, nie było wcale widać na ich twarzy znękania, zmęczenia, smutku, owszem panowała w tem kółku serdeczna wesołość, ożywiona rozmową, śmiechy a nieraz i piosenka słyszeć się dała.

Cóż to naprzykład za uciecha była, gdy Tomaszowa z okoliczności jego wyzdrowienia ugotowała herbaty z rumem i napiekła grzanek! Herbata była mętna, miała smak ziółek i Hulatyński musiał się zmuszać, aby parę łyków przełknąć, a grzanek wcale nie tknął, tymczasem reszta delectowała się tem, jakby największymi specyałami, i w całym domu była z powodu tej fety taka uciecha, że zdawało się ściany, sprzęty, szklanki ożywić się tą ogólną wesołością i uśmiechały się razem z ludźmi.

Rozochocony Tomasz, rozmarzony arakiem, zaczął przyspiewywać, i wzięwszy małą Marynię za rękę, nuż obracać się z nią w około. Chciał pocziwiec tem rozweselić swego pana, który siedział jakiś smutny i zamyślony.

Był zamyślony rzeczywiście. Myślał nad rozwiązaniem zagadki: co tym ludziom daje taki humor, takie zadowolenie? Nie umiał sobie na to odpowiedzieć, nigdy nie pracował, więc nie wiedział, że w pracy w wypełnianiu obowiązków tkwił ów talizman szczęścia, zadowolenia i wesołości. Przypatrywał się temu ze wzrastającym podziwem i przypomniał sobie, ile to on nieraz pieniędzy wydawał aby się zabawić, — ile nałamał sobie głowy nad wymyślaniem nowych rozrywek i mimo to często nudził się śmiertelnie. A ci ludzie przy skromnej wieczerzy, na którą wydali zaledwie kilkadziesiąt centów, mieli tyle uciechy i zabawy, że mogliby niejednemu śledzennikowi odprzedać połowę tego, i jeszczeby im dosyć starczyło na własną potrzebę.

A ten Kazik mały — chłopczyzna ledwie odrósł trochę od ziemi, a już zarabiał na siebie. On także zdziwił nie mało Hulatyńskiego. Taki malec i już rwał się do pracy, a on trzydzieści kilka lat przeżył i nie pomyślał nigdy o tem. I choćby nawet chciał się wziąć do jakiej pracy, toby nie wiedział co począć. Do ciężkiej fizycznej pracy był niezdolny, bo miał za mało sił na to, a co do umysłowej, brakowało mu systematycznej nauki.

Raz Kazik, wyrabiając zadanie geometryczne, przyszedł go zapytać o sposób wykreślenia elipsy. Hulatyński nie mógł go objaśnić, bo sam nie miał o tem pojęcia, co Kazika ogromnie dziwiło, że taki duży pan nie wie tego, o czem uczniowie drugiej klasy już wiedzieć muszą.

Znał on wprawdzie języki — trzymano mu dla tego bony, — umiał trochę brząkać na fortepianie, ponabycował od korepetytorów, guwernerów, od gości bywających w domu ojca, a wreszcie od znajomych, dużo wiadomości z najrozmaitszych gałęzi wiedzy, — ale wszystko to było u niego pomieszane, jak groch z kapustą. Miał głowę jak magazyn, zarzuconą najrozmaitszymi przedmiotami, w której jednak z trudnością znaleźć można było to, czego było potrzeba. Dosyć wiedział, aby o wszystkim mówić w salonie, ale za mało, aby z tej wiedzy wyciągnąć jakąś korzyść dla siebie lub dla drugich.

Pewnego dnia, gdy z przymkniętymi oczyma leżał na łóżku, słyszał jak mały Kazik, sądząc, że śpi zapytał wujka: „Wujciu! czemuż jest ten pan?” — a Tomasz dał mu odpowiedź przyciszonym głosem: „Niczem, jest sobie panem.”

Te ciche słówko „niczem”, padło jak ołów na jego serce i gniotło je boleśnie swoją prawdą. Bo w istocie był niczem.

Dopóki miał pieniądze, był panem, straciwszy je, nie miał nic i był niczem. Nie umiał nic i nie mógł się nikomu na nic przydać, nawet jeszcze zawadzał tym biednym ludziom, bo potrzebował ich opieki, pomocy, za którą nie mógł im nawet tak wynagrodzić, jak to było u niego zwyczajem.

Gdyby miał teraz w rękę choć połowę majątku, który przepuścił, to może z tym poglądem, jaki sobie wyrobił w biednej izdebce doróżkarza, zacząłby inne życie, lepsze pożyteczniejsze, zajmowałby się ubogimi, wynajdował potrzebujących, dostarczał im środków do pracy, ale bez pieniędzy byłyby to tylko próżne marzenia. Miał zaledwie tyle, aby wynagrodzić jako tako Tomaszostwo za tych kilka tygodni, przez które go żywiłi i opatrywali, mogło jeszcze przy skromnem życiu wystarczyć mu tych pieniędzy na miesiąc, dwa, ale co potem?

Nadziei dostania pieniędzy nie miał żadnej, zapracować nie umiał. Nie pozostawało mu tedy nic innego, tylko umrzeć.

## IV

Miał nawet już gotowy plan wykreślenia się tanim kosztem, z rzędu ludzi, wałęsających się niepotrzebnie po świecie.

Pewnego dnia, gdy leżał na łóżku rozmyślając nad swoim położeniem, zwrócił jego uwagę gwóźdź sterczący u pułapu. Niegdyś prawdopodobnie ktoś na tym gwoździu zawieszał lampę. Musiało to już być bardzo dawno, bo gwóźdź ów przy bieleniu zamalowano wapnem, że go prawie znać nie było. Otóż Hulatyńskiemu przyszło na myśl, że możeby nieźle było zamiast lampy, zawiesić siebie. Ta myśl kusila go.

Wydawało mu się, że to najłatwiejszy sposób pozbycia się życia, a skłaniał go do tego wyboru ów sen o balonie, w którym miał śmierć tak lekką. Gdzieś, kiedyś słyszał, że wisielcy podobno rzeczywiście doznają w ostatnich chwilach takiego rozkosznego drażnienia, jakie czuł wtedy we śnie. A zachodu do tego potrzeba nie wiele. Kawałek sznurka,

o co w domu praczki nie było trudno, stół i stołek, po którymby się można dostać w górę i zaczepić sznurek o gwóźdź, — i oto wszystko.

Zrobił nawet próbę, czy gwóźdź wytrzyma ciężar ciała i zawiesił się na nim ręką. Tkwił mocno w drzewie i nie drgnął. Dla większej pewności, gdy nikogo nie było w domu, przybił go jeszcze młotkiem. Potem uciął kawałek sznurka z tych, na których Tomaszowa wieszała bieliznę, posmarował go łojową świeczką, aby pętla łatwiej snuć się mogła, zrobił dwa węzły, bo słyszał, że to konieczne, schował sznur do kieszeni i spokojnie oczekiwał nocy.

Pragnął zamiar swój wykonać w nocy, po dwunastej, gdy wszyscy będą w najgłębszym śnie pogrążeni, aby mu nikt nie przeszkodził i nie nadbiegł niepotrzebnie z pomocą. Nie chcąc zaś pocziwych ludzi, u których znalazł przytułek, narażać z powodu swojej śmierci na krzywdzące podejrzenia, śledztwo etc., napisał zeznanie, że umiera dobrowolnie. Rozporządził sumką, którą miał w pugilaresie, na rzecz Tomaszostwa za to, że go trzymali u siebie — i dopełniwszy tych czynności, położył się w łóżko, czekając dwunastej.

Godzina nadeszła prędzej, niż się spodziewał. Pogrążony w myślach ani spostrzegł jak czas mu upłynął i wybiła ostatnia dla niego chwila.

Słyszał ją najprzód na wieży kościelnej, potem powtórzyła ją gwizdawka stróża na ulicy, potem odezwał się brzęczący głos zegaru ściennego, wiszący w drugiej izbie, w końcu zegar kościelny jeszcze raz wydzwonił godzinę.

Gdy ostatni ton przebrzmiał, wstał i zabrał się do wykonania zamiaru. Chciał to uczynić w ciemności, ponieważ jednak ciągle potraçał się o sprzęty, więc bojąc się hałasem obudzić śpiących, zapalił świecę i postawił ją na miednicy. Zrobił to z przezorności, aby gdy świeca się dopali, nie zajął się od niej stół i nie powstał pożar.

Następnie po cichu ostrożnie przeniósł stolik tuż pod gwóźdź, przystawił stołek i już oparł się nogą na nim, aby wstąpić na to zaimprovizowane rusztowanie, gdy drzwi od drugiej izby się otworzyły i weszła, a raczej wsunęła się Tomaszowa, blada, wystraszona, otulona w derową chustkę.

Hulatyński wzdrygnął się, jakby zobaczył widmo.

— Czego tu chcecie? — spytał opryskliwie.

— Pan nie śpi? — odezwała się drżącym głosem.

— A was to co obchodzi?

— To może pan pójdzie spojrzeć na mojego i wymiarkuje, co mu jest. Wrócił jakiś nie zdrow do domu, narzekał na ból w nogach i w głowie, mało co jadł, a teraz leży rozpalony, gorący, coś mamrocze i rękami wymachuje. Możeby pan zobaczył...

Hulatyński schował do kieszeni postronek, który trzymał w ręku, wziął świecę i poszedł za Tomaszową do drugiej izby do łóżka, na którym leżał doróżkarz.

Hulatyński nie wiedział co choremu jest radził jednak co prędzej posłać po doktora, domyślając się jakiejś ciężkiej choroby.

Domysły jego okazały się słusznymi, gdyż przybyły lekarz rozpoznał tyfus i kazał co prędzej chorego przenieść do szpitala.

Tomaszowa, szlochając, pobięła po ludzi i nosze, polecając chorego i śpiące dzieci opiece Hulatyńskiego.

Nie był mu ten obowiązek ani przykry, ani uciążliwy. Owszem — uczuł pewne zadowolenie, że jest potrzebny, że na coś przydać się może. Spełniał powierzony mu dozór z przesadną skrupulatnością. Co chwila stawał i zbliżał się do chorego, kładł chłodną rękę na jego rozpalone czoło, i ucieszyło go, że stary znajdował w tem widoczną ulgę, bo się stawał spokojniejszym. Z kolei chodził do łóżek dzieci, poprawiał kołderki, nakrywał niemi śpiące, i z zajęciem przypatrywał się ich nadobnym twarzyczkom, zarumienionym od mocnego spania, ich rozchylonym, wiśniowym usteczkom, których oddech spokojny, równy cichy, zaledwo było można pochwycić uchem.

Nie znał on prawie dzieci, nie bywał nigdy w takich domach, gdzie dzieci kręcą się koło rodziców. Teraz dopiero w domu Tomaszowa zapoznawał się z niemi, a teraz poraz pierwszy widział je śpiące i widok ten dziwnie miłe zrobił na nim wrażenie. Ten sen niewinnych istotek miał w sobie tak coś spokojnego, anielskiego, że nie mógł oderwać oczu od uroczego widoku. Siedział, patrzył, rozmyślał nad tem, jak pięknym jest człowiek, póki go świat i namiętności nie zeszpecą i zepsują!

Wśród tych rozmyślań, mimowoli zagłębił rękę w kieszeni i namacał postronek.



Wstrząsnął się cały, jakby węża dotknął i rękę prędko wyjął. Zamiar samobójczy wy-  
dawał mu się wstrętnym, zbrodniczym, wobec tego cichego snu dzieci, nad którymi  
powierzono mu opiekę. Dziś nie byłby wstanie spełnić takiej zbrodni, odłożył to na póź-  
niej.

Z powrotem Tomaszowej, za którą wnieśli tragarze lektykę, rozpoczęła się bolesna  
scena wynoszenia chorego. Nie obeszło się bez płaczu i lamentów nie tylko samej Toma-  
szowej, ale i sąsiadek, które złudzone niezwykłym o tej porze ruchem w domu, powy-  
chodziły na wpół odziane z łóżek na podwórzec, do sieni, wciskały się ciekawie, natrętnie  
do izby, i powiększały zamieszanie.

Niektóre z nich, mając zabobonny wstręt do szpitala, odradzały Tomaszowej posyłać  
tam męża, prorokując, że jej zamrze, jak dwa a dwa cztery. Inne znowu radziły szpital,  
utrzymując, że w domu nie miałby nigdy takiej opieki, jaką tam mieć będzie. Ze starcia  
się tych dwóch przeciwnych mniemań powstał taki hałas, taka walka na słowa, że dzieci  
się pobudziły, i ujrawszy ludzi tyle, lektykę, którą właśnie tragarze wynosili z chorym,  
buchnęły także za kobietami głośnym płaczem.

Hulatyński zostawszy z niemi sam jeden po wyjściu ludzi, musiał je uspokajać i po-  
cieszać, — szczególniej Marysię, która dygotała z przestachu i trzęsła się, jak we febrze.  
Wziął ją na rękę, drzącą okrywał kołderką i tulił do siebie. Kazikowi zaś, który zaczął go  
się natrętnie dopytywać, co Tomaszowi się stało? dla czego zabrali go z domu? — musiał  
co chwilę odpowiadać na pytania.

Kosztowało go to niemało, bo nie umiał wcale rozmawiać z dziećmi, naginać się do  
ich pojęć i tłumaczyć im tak, aby go zrozumiały.

Gorzej jeszcze było, gdy nadszedł dzień i dzieciom trzeba było przygotować śniadanie,  
ubrać je, aby mogły na czas pójść do szkoły, a tu Tomaszowej widać nie było. Rad nie rad  
musiał ją zastąpić.

Z ubraniem jeszcze poszło jako tako, bo Kazik prawie się sam ubrał, a Maryni tyle  
tylko co pomógł sukienkę zapiąć z tyłu na haftki i włoski rozdzielić przy czesaniu. Ale  
gorzej szło ze śniadaniem: nie wiedział, jak się zabrać do tego.

Przypomniawszy sobie wprawdzie, że jego lokaj, gdy mu chciał zrobić kawę, brał jakąś  
machinkę ze szklanem przykryciem, sypał w środek kawę mieloną, lał wodę, potem zapalał  
spirytus i w kilkanaście minut kawa była gotowa, a woń jej rozchodziła się po pokoju. Ale  
tutaj takiego naczynia nie było, spirytusu także nie można było znaleźć; więc pomimo jego  
najlepszych chęci, musiałyby głodne pójść do szkoły, gdyby Kazik nie był mu przyszedł  
z pomocą i nie objaśnił, że trzeba naprzód zapalić w piecu, potem odlać fusy, postawić na  
blasze, potem zemleć kawę na młynku, dodać do niej cykoryi i zasypać, gdy będzie wrzało  
w garnku.

We dwóch razem zabrali się do wykonania tej czynności, ale pokazało się, że łatwiej  
powiedzieć, niż wykonać. Już samo zapalenie w piecu nastroczało niesłychane trudności.  
Hulatyński napsuł nie mało zapalek, a wszystko napróżno. Co zapalił, to dym gasił ogień,  
wracał na izbę, zamiast ciągnąć do komina, i gryzł go niesłychanie w oczy. Nie przypuszczał  
nigdy, że rzecz tak mała może być tak trudną, bo jemu się to niesłychanie łatwo wydawało,  
gdy patrzył nieraz z łóżka, jak to robił służący.

Nareszcie z pomocą papierów, których napakował sporo do pieca, zlocisty płomień  
zaczął huczeć ku wielkiej ucieście wszystkich.

Hulatyński zabrał się z kolei do mielenia kawy. Szło mu również niezręcznie, bo nigdy  
tego nie robił. Kazik pobiegł tymczasem do przekupki naprzeciwno po bułki, a Mary-  
nia uklękła przed nieposlanem łóżkiem i zaczęła głośno odmawiać pacierz. Hulatyński  
jedenostajnego brzęczenia małej słuchał z zdziwieniem i wzruszeniem, bo mu się przy-  
pomniało, jak on sam niegdyś, dawno, bardzo dawno wydzwaniał dziecinnym głosikiem  
słowa modlitwy Pańskiej, a matka poprawiała go i podpowiadała wyrazy, gdy niektóre  
zapomniał. Było to tak dawno, że zupełnie mu wyszło z pamięci.

Teraz pogrzebane wspomnienia wydobyły się na wierzch pamięci; blada, schorza-  
ła twarz matki zamajaczyła niewyraźnie przed jego oczyma, i zdawało mu się, że przy  
akompaniamencie tej muzyki, którą trwożył monotonna wygłaszany pacierz, chód zega-  
ra i palących się drzewek w piecu, odzywa się łagodny głos matki, podpowiadający mu  
słowa modlitwy dawno zapomnianej.

Wprawilo to Hulatyńskiego w pewien rodzaj rozkosznego półsennego rozmarzenia, z którego zbudził go dopiero Kazik, wpadający do izby hałaśliwie z bułkami.

Po śniadaniu, które spożył z wielkim apetytem, choć kawa była mętna, wyprawił dzieci do szkoły. Sam ubrał małą Marynię, przycesał włosy Kazikowi i wpakował mu bułkę do kieszeni. To zajmowanie się dziećmi sprawiało mu niesłychaną, nieznaną dotąd przyjemność. Nie miał przedtem nigdy wyobrażenia, że to tak miło zajmować się innymi. Dotąd myślał tylko o sobie i o własnych przyjemnościach. I to stanowiło główny cel jego życia. Teraz poznał, że o wiele więcej zadowolenia daje praca dla drugich.

Pomimo, że się zmęczył trochę, bo nie miał wprawy w chodzeniu około dzieci, jednakże nie czuł się wcale znużonym; owszem wstąpiła w niego jakaś dziwna energia, ochota do życia, do czynu, która przedewszystkiem objawiła się tem, że ponakrywał nieposłane łóżeczka dziecinne, schował szklanki i garnuszki do szafy, zmiotł okruszyny bułki ze stołu, a w końcu wynalazłszy jakiś kawał miotły pod piecem, zamiótł nią izbę zaśmieconą podczas wynoszenia Tomasza.

Bawiło go to zajęcie, jako ćwiczenie gimnastyczne, jako sposobność zabicia czasu, a ruch taki ożywił i rozweselił. Czas zeszedł mu tak prędko, że się zdziwił, spojrzawszy na zegar, i przekonał się, iż było blisko jedenastej. Niezadługo wrócą dzieci ze szkoły. Cieszył się na myśl przyjscia ich, wesołego szczebiotania i serdecznych śmiechów.

Wcześniej jednak, niż dzieci wróciła Tomaszowa, zapłakana, zafrasowana, bo jej powiedzieli w szpitalu, że choroba męża jest ciężka i niebezpieczna, że choćby z niej wyszedł, to długo będzie musiał poleżeć, nim przyjdzie do sił i zdrowia. Biednej kobiecie widziało się, że waryacyi dostanie z wielkiej żalości. Szło jej zwłaszcza o konie, że będą po próżnicy stały tyle tygodni, że trzeba je będzie żywić, owies na przednówku opłacać, a pożytku nie będzie żadnego. Chodziła już pytać między dorózkarzami, czyby nie wiedzieli o jakim człowieku, coby umiał furmanić? — ale na razie takiego nie było.

Kazik, gdy się po powrocie dowiedział o tem strapieniu wujenki, oświadczył rezolutnie, że on umie doskonale powozić, bo nieraz z Tomaszem jeździł do rzeki myć powozik i pławić konie. Była to jednak przechwałka chłopięca. Umiał rzeczywiście chodzić koło koni, a nawet kierować niemi; ale wtedy, gdy Tomasz był przy nim, pomagał i pokazywał. Bez niego trudnoby było malcowi poradzić, bo miał za mało siły i wzrost za drobny do tego.

Pokazało się to zaraz pierwszego dnia, gdy nie opowiadając się nikomu, pobiegł w sekrecie do stajni, żeby zasypać koniom owsa i zrobić koło nich porządek. Konie wygłodzone rzuciły się do niego z taką gwałtownością, że rozsypały obrok, jego samego przewróciły i byłyby może potratowały, gdyby Hulatyński usłysawszy krzyk chłopca, nie był przybył z pomocą i nie wyniósł go ze stajni, omdlałego z bólu i przestachu.

Że jednak trzeba było koniecznie, aby ktoś koło koni chodził, więc Hulatyński, nie widząc innego sposobu, zdecydował się sam to zrobić.

Zajęcie takie nie było mu obcem. Był czas, kiedy jeszcze mieszkał na wsi, że bawił się w koniarza, ujeżdżał w czwórki, dobierał sobie po jarmarkach konie do maści, jeździł konno i większą część dnia przepędził w stajni. Wprawdzie wszystkie roboty koło koni wykonywała służba, ale on znał się dobrze na tem co i jak potrzeba zrobić. Łatwo teraz sobie to przypomniał.

Namęczył się i nasapał, bo nie miał sił, ani wprawy, ale chęć zrobienia przysługi biednej Tomaszowej dodawało mu odwagi i wytrwałości. Nakarmił konie, oczyścił i wymył powozik i wyczernił szory — rozumie się z pomocą Tomaszowej.

Biedna kobiecina nie miała słów na wyrażenie mu wdzięczności, co chwila całowała go po rękach, dziękowała i przepraszała, że taki pan musi się trudzić dla niej. To go jeszcze więcej zachęcało do roboty. Chciał jej pokazać, co umie, i całe południe pracował bez wytchnienia, trzępiąc poduszki, porządkując w stajni sprzęty, które były porozrzucane w nieładzie. Napocił się przytem i zmachał, co mu wywołało ogromny apetyt.

Jadł na wieczór tak, że mu się aż uszy trzęsły. Od lat kilkunastu nie pamiętał takiego apetytu, a choć potrawa była wcale nie wybredna, bo kasza jaglana z suszonymi śliwkami, jednak smakowała mu lepiej, niż dawniej delikatesy najwymyślniejsze. Spał potem doskonale, a choć nie długo, bo obudził się równo ze świtem, jednak sen ten pokrzepił go bardzo. Czuł się rzeświejszym i silniejszym.

Byłby chętnie jeszcze poleżał dłużej, ulegając dawnemu przyzwyczajeniu, ale ruszyła go z łóżka myśl, która nagle zabłysła mu w głowie:

„A gdyby też tak zaprzął konie do powozu i wyjechał na miasto za Tomasza?”

Powozic umiał doskonale, a poznaćby go nikt nie poznał, bo sam przeglądając się wczoraj w lusterku po zdjęciu bandażu, nie mógł uwierzyć, że widzi siebie samego, tak zmienił się przez ten miesiąc.

Twarz z tej strony, gdzie była rana, zakłęśła; skóra ściągnięta blizną, podniosła w górę wierzchnią wargę i odsłoniła trochę zęby, co mu nadawało taki wyraz, jakby się krzywił lub uśmiechał ustawicznie. Do tego jeszcze broda, której nigdy przedtem nie nosił, a która teraz bujnie się puściła, robiła go o wiele starszym. Mógł więc śmiało i bez obawy pokazać się najbliższemu nawet znajomym.

Nie mówiąc tedy nic nikomu, wysunął się po cichu do stajni, ubrał konie i zaprzągnął je do powozu, siebie ustroił w liberyą ze świecącymi guzikami, usiadł na kozioł i wyjechał.

Tomaszowa właśnie szła do studni, gdy go zobaczyła, osłupiała z podziwu i radości.

— Jaktó? pan sam?

Nie mogła dokończyć pytania, bo łyzy zadławiły głos — łyzy radości i szczęścia.

— Tylko nikomu nic nie mówcie: kto, co jak? — rzekł Hulatyński.

— Słowa nie pisnę — rzekła, składając ręce jakby do modlitwy, jakby do przysięgi.

— Trzeba powiedzieć, że krewny Tomasza, brat albo jak się wam podoba. Rozumiecie.

Kobieta nie była wstanie jeszcze przemówić z zachwytu, tylko przytakiwała głową, a składając ręce, patrzyła za odjeżdżającym, powtarzając drżącym ze wzruszenia i rozmiękłym od łez głosem:

— O mój złoty panie! niechże ci Pan Jezus nagrodzi!...

## V

Gdy Hulatyński, wyjechawszy na rynek, stanął w szeregu fiaków i z wysokości kozła spojrzal na ludzi rojących się na chodniku, a pomiędzy tymi ujrzał dawnych znajomych, — zdawało mu się, że siedzi w teatrze i patrzy na jakieś ciekawe widowisko. Znając ich sposób życia i niektóre jego szczegóły, mógł z łatwością odgadywać, gdzie śpieszą i po co. I tak np. wiedział dobrze, że stary hrabia Julian, który przechadzał się z wolna po trotuarze, prostując się ile możliwości i usiłując odmawiające mu posłuszeństwa nogi zmusić do elastycznego chodu, oczekuje tutaj drugorzędnej „naiwnej” miejscowego teatru, idącej na próbę, aby jej wręczyć bukietek fiołków; że baronowa Schorstein, okryta czarną salopą w kwiaty, toczy się z torbą wyładowaną książkami do nabożeństwa prosto do kościoła Ojców Jezuitów, gdzie przepędza regularnie kilka godzin dziennie. Tam znowu zobaczył kilku oficerów w ułańskich mundurach, brząkających po bruku szablami z kawalerską fantazyą. Na pewnika wiedział, że wejdą do cukierni, usadowią się przy oknie, i zapijając koniak, będą lustrowali przechodzące kobiety, robili uwagi i śmieli się głośno z własnych konceptów.

Co go najwięcej bawiło, to że nie poznany przez nich może być świadkiem ich różnych sprawek i rozmów, wchodzić niejako za kulisy ich życia i obserwować ich bez sztucznej pozy i złudnego oświetlenia. Ten świat elegancki, połączony, wyperfumowany, ukazywał mu się tutaj w całej nagości, nieraz brudnej i szkaradnej.

Niejeden naprzykład poważny mąż, członek wielu towarzystw, który w tym świecie uchodził za wzór przyzwoitości i dobrego tonu, wsuwał się wieczorem do jego doróżki, otulony starannie płaszczem, w kapeluszu spuszczonej na oczy i kazał się wieść gdzieś na ustronną uliczkę, do małego domku na uboczu, gdzie widocznie czekano na niego, bo otwierano mu tajemniczo drzwi za umówionym znakiem.

Niejedno małżeństwo przykładne i słodko uprzejme wobec ludzi, wracając we dwoje doróżką z jakiego wieczoru, klóciło się w najgminniejszy sposób, tyle tylko, że po francusku — w tej błogiej nadziei, że doróżkarz nie zrozumie.

Dni schodziły mu na tych obserwacjach, jakby na czytaniu ciekawych romansów ustępami, w których z niecierpliwością nieraz oczekiwał dalszego ciągu. Największą jednak dla niego było przyjemnością, gdy wracał do domu z znacznym zarobkiem, kiedy mógł wieczorem położyć Tomaszowej na stole osiem lub dziesięć reńskich, jako owoc całodziennej pracy.

Pocziwa kobiecina nie miała słów na wyrażenie mu wdzięczności i ze łzami w oczach dziękowała mu za łaskę, jaką jej wyświadczał. Dzieci widząc to, całowały go po rękach, jak swego dobrodzieja i tuliły się do niego. Tak go polubiły, że umyślnie nie kładły się wcześniej spać, aby doczekać się jego powrotu, tem więcej, że nigdy nie wracał z próżnemi rękoma i co wieczór przywoził im to cukierki, to zabawkę jaką.

Były to drobnostki niewielkiej wartości, ale dzieciom sprawiały niesłychaną uciechę, na co patrząc Hulatyński, doznawał błęgiego uczucia zadowolenia, że tak małemi środkami można sprawić tyle radości i szczęścia.

Zaczął cenić wartość drobnych pieniędzy, gdy się przekonał, że one dawały mu częściej więcej przyjemności, niż grube sumy wyrzucane dawniej na hulanki i szalone rozrywki.

Każdego dnia wracał do domu do tych trojga istot, które go oczekiwały z upragnieniem, jakby do rodziny; było mu w towarzystwie prostej ale uczciwej kobiety i tych dwojga dzieci ciepło i miło. Kiedy po kolacyi zabrała się Tomaszowa do mycia naczyń, odmawiając przytem półgłosem pacierze, a on z dziećmi, usunąwszy się w ciemny kąt izby, siedział, gaworząc, opowiadając im różne historyjki lub słuchając ich szczebiotania, czuł się tak szczęśliwym w tym małym światku, do którego mimowoli los go wepchnął, że nie mieniałby się na dawne życie. Z każdym dniem nabierał więcej zamilowania do rodzinnego życia. Dotąd dom był dla niego tylko wypoczynkiem po hulankach, ozdobnie umeblowane pokoje nie miały mocy zatrzymać go na dłużej, nudził się w nich i copędzej wychodził, szukając zabawy i towarzystwa. Teraz zaś, choć mieszkał w skromnej bielonej izbie, z drewnianymi sprzętami, z przyjemnością myślał o powrocie do domu, bo w tym domku czekało go to, czego nie miał w wykwintnych salonach swoich, serdecznego ciepła.

Sam nie wiedział, jak i kiedy wciągnął się w ten nowy tryb życia i tak się do niego przyzwyczaił, że prawie musiał sobie przypominać, iż niegdyś niedawno temu, żył w otoczeniu innem, w warunkach całkiem odmiennych. Przeszłość jego świetna, hulaszczą, wydawała mu się snem prawie. Prędko zapomniał o tym świecie, który także o nim prędko zapomniał.

Nieraz woził dawnych znajomych, pilnie nadsluchiwał, czy też nie mówili czego o nim, ale nie mógł się tego doczekać. Rozmawiali o rozmaitych drobnych wypadkach tego świata, w którym żyli, ale o nim nigdy ani słowa. Może w samym początku mówiono wiele o nim, o jego niespodzianem i tajemniczem zniknięciu, — był chwilowo „bohaterem dnia”, ale potem nowe wypadki i wrażenia zatarły go w pamięci ludzkiej, inne postacie wystąpiły na widowie, a o nim zapomniano, jak o umarłym.

Raz tylko wioząc dwóch jakichś elegantów, gdy przejeżdżał z nimi koło dawnego swego pomieszkania usłyszał, jak jeden z nich odezwał się:

— Patrz! tu mieszkał ten osławiony Hulatyński — oto w tych czterech oknach na pierwszym piętrze.

Hulatyńskiemu krew uderzyła do głowy, gdy usłyszał własne wymówione nazwisko. Głos mówiącego nie był mu obcy, ale na razie nie mógł sobie przypomnieć kto to, a obracać się nie chciał, żeby się nie zdradzić.

— I gdzież się on teraz obraca? — dał się słyszeć głos drugi, pełniejszy, świeższy.

— A kto go wie. Może gdzie w Paryżu został markierem przy bilardzie, jeżeli sobie w łep nie palnął, bo nic innego nie pozostawało mu do zrobienia po owym haniebnym czynie, którego się dopuścił.

— Cóż on takiego zrobił?

— Co? Nadużył naszego zaufania i wszystkich nas w pole wyprowadził, bo żył jak milioner, i wszyscy traktowaliśmy go jako milionera, aż tu po jego zniknięciu pokazało się, że miał zaledwie głupie sto kilkadziesiąt tysięcy, które w kilka lat przeszastał. Pomyśl, co to za kompromitacja była dla mnie, który go rekomendowałem w najpierwszych domach, wprowadziłem do klubu. Hrabina Aurora do dziś dnia zapomnieć mi nie może, że flirtowała z nim parę miesięcy; nawet coś podobno było między nimi. Traktowała go, jak człowieka z naszych sfer, ufając mojej rekomendacyi, a gdy się dowiedziała o istotnym stanie rzeczy, mdlała, awantury wyprawiała, że dała się podejść tak niegodnie! Ale mój drogi, któż mógł przewidzieć, że to takie nędzne indywiduum, a potem oszukało niegodnie? Mnie samego zarwał na kilka tysięcy, *ma foi*, jak mnie żywego widzisz.

Hulatyński nie mógł już dłużej wytrzymać i obrócił się, aby zobaczyć, co to za człowiek, który takie bezecne brednie i oszczerstwa na niego wygaduje? Zobaczywszy, zatrząsł się z oburzenia, gdyż w mówiącym poznał majora Rąbigoszewskiego, znanego pieczeniara i wyzyskiwacza młodych ludzi, którego poufale Papkinem, Papciem nazywano.

Czy był kiedy majorem i w jakim wojsku, tego nikt dokładnie, a nawet on sam nie mógłby powiedzieć. Ci, którzy go lepiej znali, utrzymywali, że tytuł ten dostał mu się w spuściznie po jakiejś prawdziwej majorowej, na której wikcie żył przez czas jakiś, jak powiadano. Awansowano go tedy żartobliwie na porucznika kapitana, wreszcie majora, i ten tytuł pozostawiono mu na własność. Stanowiska nie miał żadnego, dochodów żadnych ani zajęcia; mimo to żył i wcale nie źle, wieszając się u kłamki ludzi, bogatych utracuszów, którzy się nie rachowali z groszem i którym się wysługiwał. Kłamca musiał ludzi niedoświadczonych pozorami powagi i dobrego tonu, i dopiero po bliższym poznaniu, szczególnie w interesach pieniężnych, odsłaniała się nikczemność jego charakteru.

Hulatyński miał nieraz sposobność poznać go z tej strony, gardził lichym człowiekiem, ale się nim posługiwał, bawiąc się jego bufonadą, conceptami, anegdotkami, i pozwalał się za to wyzyskiwać, a raczej sam hojnie opłacał jego przysługi.

I teraz ten człowiek, którego on żywił i utrzymywał, śmiał o nim rozsiewać oszczerstwa, potępiać go za dobrodziejstwa, jakich od niego doznawał!

W piewszej chwili tak go to oburzyło, że miał ochotę wysmagać go batem za bezecne kłamstwa. Na szczęście w porę przypomniał sobie, że tem zdradziłby swoje incognito. Więc pohamował oburzenie i zacisnął usta. Oblał go tylko z wysokości kozła spojrzeniem, pełnym pogardy, którego jednak Rąbigoszewski wcale nie zauważył, zajęty rozmową z towarzyszem.

Towarzysz ten wyglądał na przybyłego niedawno z prowincyi, z którego twarzy życie wiejskie nie zdołało jeszcze zetrzeć świeżego rumieńca młodości, a pełne kształty ciała, zdrowe i jędrne, z trudnością mieściły się w opiętym ubraniu, ostatniej mody. Ruchy jego były również twarde, niezręczne, nie miały jeszcze owej giętkości, jaką nadaje częste bywanie w salonach.

Hulatyński umiał to osądzić na pierwszy rzut oka, bo wiele podobnych egzemplarzy przesuwało mu się przed oczyma. On sam niegdyś przechodził taki nowicyat, nim się wyrobił i oszlifował. I do niego tak samo przykleił się wtedy major, i żyjąc jego kosztem, odgrywał przy nim rolę mentora, przyjaciela i doradcy.

To podobieństwo położenia usposobiło Hulatyńskiego życzliwie dla nieznajomego młodzieńca, tem więcej, że jego powierzchowność była nadzwyczaj sympatyczną i ujmującą.

Był to człowiek w pełni sił i zdrowia, kolosalnej budowy, a wyraz twarzy miał jeszcze prawie dziecienny. Oczy jego były pełne życia i ognia. Widać w nim było ochocze rwanie się do świata, chęć używania, a przytem dobroć i łatwowierność. To wszystko można było bez trudności wyczytać na jego rumianej twarzy, na której cała dusza i usposobienie wypisało się z młodzieńczą szczerością. To wszystko tak pociągało ku niemu Hulatyńskiego, że wysiadając z doróżki, młodzieniec ów podał mu zapłatę, Hulatyński miał ochotę ścisnąć go za rękę i powiedzieć:

„Nie daj się pompować takim szubrawcom jak ten.”

Z trudem tylko powstrzymał się od tego, nie mógł jednak nie ścisnąć choć zlekka rękę, która mu wtykała zapłatę.

Zapłata była zbyt hojna, jak za krótką jazdę, bo dał mu dwa guldeny.

— Coś tak jakoś zaczyna, jak ja — powiedział sobie Hulatyński, oglądając pieniądze. — Żeby tylko koniec jego był lepszy!

Korciło go to, że Rąbigoszewski przyczepił się tak do nieznajomego i będzie niedoświadczonemu ssał bez litości. Pod tym względem znał majora.

Niezadługo miał nową sposobność przekonania się, że major był jeszcze gorszym, niż mniemał, mianowicie, gdy go spotkał raz wieczorem idącego ręka w rękę z Korbutem — mężem jednej piękności, której niegdyś nadszkakiwał. Dwóch tych ludzi, idących razem w takiej zażyłości z sobą, dało mu wiele do myślenia, gdyż major zawsze przed nim udawał, że nie zna wcale Korbuta, bo jak mówił, czuje do niego wstręt niewytłumaczony, a swoją drogą wystawiał go przed Hulatyńskim, jako groźnego tyrana, pastwiącego się

nad żoną, którą nazywał zawsze ze współczuciem ofiarą nieszczęśliwą. Jak sobie przypomniał Hulatyński, on to pierwszy zwrócił na nią uwagę i obudził litość w jego sercu, on także doniósł jej o sympatii, jaką ona uczuła dla niego od pierwszego poznania. Ułatwił mu następnie widywanie się z nią, a zarazem ostrzegął przed mężem, straszył niesłychaną jego zazdrością.

Kombinując to wszystko, Hulatyński przyszedł do przekonania, że był ofiarą nieczej zмовy, że Rąbigoszewski, Korbut i jego żona, to była banda, która zręcznie odgrywała swoje role, aby go złapać i wyzyskać.

Podejrzenia jego wzmocniły się jeszcze bardziej, gdy jakiś czas potem zobaczył tę szalbierską trójkę, jadącą razem w zamkniętym powozie. Przejechali tak prędko, że zaledwie mignęli mu przed oczyma, miał jednak czas pochwycić wyraz ich twarzy. Zdawali się być czemś mocno zajęci i ożywieni, jakby zmiawiali się na coś.

Zaczynał teraz wierzyć, że listy bezimienne, które odbierał o tej kobiecie mówiły prawdę, że Julia — takie miano nosiła, ale może przybrała tylko jasnowłosa piękność, — nie była nigdy żoną Korbuta, że ją tylko okrzesał trochę, aby łapać łatwowiernych i wyzyskiwać przez nią. Kosztowało go to wszystko razem przeszło sześćdziesiąt tysięcy, — suma, którą wtedy lekceważył, a która dziś wydawała mu się olbrzymią. I gdy sobie pomyślał, na co wyrzucił ją tak lekkomyślnie, ile teraz dobrego mógłby zrobić temi pieniędzmi, — oburzał się na siebie samego, na swoją głupotę i łatwowierność.

Niczego tak nie pragnął, jak możliwości, żeby tych ludzi, którzy go w tak nieczny sposób podeszli i wyzyskali, ukarać za to. Ale gniew jego był bezsilny, bo i cóż mógł poradzić biedny doróżkarz tej bandzie ludzi przewrotnych, mających na swoje usługi bezczelny spryt i pieniądze?

## VI

Dwa tygodnie już upłynęły od czasu, gdy Hulatyński zaczął zastępować chorego Tomasza. Zbiegły mu one nadzwyczaj prędko w pracy i zajęciu, do którego przyzwyczał się bez wielkiej trudności. Sam się dziwił, jak łatwo mu to przyszło. Znajdował tam upodobanie w tym nowym sposobie życia, tak różnym od dawnego.

Tomaszowa z początku chciała mu gotować osobno, widząc, że był przyzwyczajony do lepszego jadła, ale nie pozwolił na to, jadł to co oni, a proste potrawy smakowały mu i służyły. Czuł się po nich zdrowym i silnym. Już teraz nie myślał o śmierci. Chciał żyć, chciał pracować, Obudził w sobie energią i odwagę do walki z losem, czuł się silnym i zdrowym na umyśle i ciele. Życie czynne odrodziło w nim mężkość.

Czekał tylko na wyzdrowienie Tomasza, aby z nim jako doświadczeńszym, naradzić się, co mu dalej czynić należy? Za parę dni miało nastąpić przesilenie choroby.

Przesilenie to niestety! skończyło się śmiercią. Tomaszowa została wdową, a Hulatyński zmuszony był dalej zastępować nieobecnego i pracować tak jak tamten, na utrzymanie całej rodziny.

Ten obowiązek dodał mu nowej energii do pracy. Teraz dopiero naprawdę uczył się potrzebnym na świecie, z którego w tak lekkomyślny sposób chciał uciec parę miesięcy temu. Coby robiła biedna Tomaszowa? coby robiły te biedne sieroty wychowywane przez nią, gdyby jego nie było?

Przeświadczenie o pożyteczności swego istnienia czyniło go dumnym i zadowolonym z siebie. Szło mu tylko o to, aby jaknajwięcej mógł zarabiać. Nie lenił się wstawać wcześniej od innych doróżkarzy, nocami jeździł po mieście, aby tylko jak najwięcej zyskać pieniędzy. Mieć jak największy dochód, to było jego marzenie.

Pewnego dnia wskoczył na koziele jego doróżki jakiś lokaj i kazał mu jechać na ulicę Szeroką.

Hulatyński w pierwszej chwili zmieszał się, gdy w siedzącym tuż obok siebie poznał swego dawnego służącego Franciszka. Spotkanie to było mu nadzwyczaj niemiłym, nie tyle dla tego, że tak bliskie sąsiedztwo i poufalskość służącego obrażała go, ile dla tego, że obawiał się, aby nie był poznany. Franciszek bowiem w czasie jazdy kilkakrotnie mu się przypatrywał uważnie.

Hulatyński był przekonany, że go poznał, i aż gorąco mu się zrobiło z tego powodu. Okazało się jednak po chwili, że był w błędzie, bo Franciszek przypatrywał mu się tylko dla



tego, że na kozle doróżki, którą jeździł tak często, zobaczył obcego woźnicę. Aż przechylił się dla zobaczenia numeru doróżki i przekonania się, czy się nie pomylił.

— A gdzie Tomasz? — spytał po chwili Franciszek.

— Oho! już niema Tomasza.

— A cóż się z nim stało?

— Zmarło się biedakowi.

— Umarł. Dawno?

— Będzie tydzień jutro.

— I wy po nim objęliście doróżkę?

— Nie, ja tylko służę u wdowy, która mi ciotką przychodzi.

W tym charakterze zameldowano go także na policji. Tomaszowa wyszukała nawet papiery po jakimś swoim krewniakowi, którymi się Hulatyński wylegitymował w urzędzie.

— To może nie wiecie o tem, że my z Tomaszem byliśmy dobrzy znajomi, że ja mu nastęczałem zawsze dobrych gości, a on za to dzielił się zemną zarobkiem. Nic wam nie mówił o tem? — o Franciszku od Hulatyńskiego?

— Coś mi raz napomknął.

— Sporo on zarobił grosza z mojej poręki, za mego dawnego pana. A teraz mam drugą taką dojną krowę. Rozdawny pan, może jeszcze hojniejszy niż tamten. Będziecie mieli nie złe obrywki. Tylko jak powiedziałem, ja muszę także przytem zarobić swoje, bo ręka rękę myje. No, zgoda?

— Ha, no, skoro Tomasz miał taki układ z wami — to zgoda.

— Czekać, zaraz go wam tu sprowadzę rzekł służący, i zeskoczył z kozła, gdy doróżka zatrzymała się przed jednym domem.

Hulatyński rad był niezmiernie poznać swego następcę — i badawcze spojrzenie za-  
puścił w głąb ciemnej sieni, z kąd miał wyjść nowy pan Franciszka.

Jakże się zdziwił, gdy w wychodzącym i wsiadającym do doróżki poznał owego młodzieńca, którego kilka dni temu widział w towarzystwie Rąbigoszewskiego!

Więc aż do tego stopnia zachodziło podobieństwo między nimi, że te same pasorzyty żywiły się ich sokami!

Podobieństwo uwydatniało się jeszcze bardziej, gdy w tydzień potem, jadąc z owym panem, zatrzymał się na ustronnej uliczce, gdzie jakaś dama zasłonią gęstą woalką zbliżyła się do powozu.

Hulatyński zobaczył swoją własną historią powtórzoną. Tak samo rozpoczynał się jego romans z Julią. Twarzy tej damy nie widział wprawdzie, ale nie wątpił, że to była ona, poznał ją po kształtach, po wzroście, po ruchach, a wreszcie po sposobie rozpoczynania romansu. Nie słyszał rozmowy, a jednak mógł przysiąc, że z pewnością skarżyła się na tyrana, zazdrosnego męża, wystawiając siebie jako nieszczęśliwą ofiarę, która teraz dopiero poznała, co to prawdziwa miłość, odkąd jego, to jest owego młodzieńca poznała, że ta miłość, to jedyny jasny promień w jej życiu, to całe jej szczęście i t. d., i t. d.

I on niegdyś słyszał z ust jej podobne wyznania, i tuląc płaczącą do siebie, przysięgał, że będzie ją kochał wiecznie, że uwolni z rąk tyrana i uczyni szczęśliwą.

Grubo go potem kosztowała ta rola pocieszyciela. Nauczony doświadczeniem, chciał przynajmniej owego młodzieńca ostrzedz od podobnej pułapki. Szło mu tylko o to, w jaki sposób to zrobić?

Najwygodniej i najlepiej było napisać list bezimienny i ostrzedz niedoświadzonego młodzika, aby się miał na baczności; ale Hulatyński brzydził się anonimami; wiedział zresztą z własnego doświadczenia, że one nie prowadzą do pożądanego celu. Wszakże i jego przestrzegano — a czyż uwierzył przestrogom? Namiętność jest głucha i ślepa na wszelkie uwagi i ostrzeżenia.

Zagrozić Julii i jej współnikom, że odkryje ich nieczne zasadzki, stanąć osobiście przed nimi, znaczyło to tyle, że zdradzić przed światem, że żyje, a tego właśnie nie życzył sobie, bo on dla tego świata umarł na zawsze i nie chciał do niego powracać. Na razie więc nie widział żadnego sposobu odpowiedniego do ratowania młodzieńca.

Jednak nie tracił nadziei, że go uratuje, że musi go uratować, tembardziej, gdy się dowiedział, że ów młodzieńiec — Anatol mu było na imię — jest jedynakiem, że jest już prawie po słowie z młodą, przystojną panią z ucziwego domu. Widział go nawet raz w towarzystwie tej panny i jej matki.

Panienska miała trochę zokonną minkę, twarzyczkę dziewiczej niewinności i anielski wyraz oczu. Łagodność i dobroć przebijała w każdym jej słowie. Jego, to jest Hulatyńskiego, gdy ją obwoził z Anatolem po mieście, nie nazywała inaczej, tylko: „mój przyjacielu” — a mówiła to takim tonem, że aż serce mu miękło od jej wyrazów.

I ona, i matka nie podejrzwały pana Anatola o żadne pokątne miłości; wierzyły mu z całą ufnością dusz szlacheckich i czystych, które nie znając co zdrada, nie posądzają o nią nikogo. W chłodnym i urzędowo grzecznym zachowaniu się Anatola widziały tylko dowody jego skromności i taktu. Ani im przez myśl nie przeszło, jakie niebezpieczeństwo zagraża ich nadziejom. Jakże okropne byłoby przebudzenie z tego snu o szczęściu! Więc Hulatyński ślubował sobie uchronić ich od tego ciosu i młodego człowieka wyrwać ze szponów nędznych jego współników.

Na jednego z nich, to jest Rąbigoszewskiego, miał łatwy sposób. Wiedział, że Franciszek nie cierpiał go jeszcze w owych czasach, gdy służył u niego. Nie pomijał on wtedy żadnej sposobności, gdy mu się nadarzyła, by „majora” przed nim osmarować jak najgorzej. On pierwszy opowiedział mu raz podczas rannego ubierania, niby tak dla rozveselenia go, w jaki sposób Rąbigoszewski przyszedł do tytułu majora, — i rozmaite inne opowiadał krążące o nim anegdotki, na pozór niby zabawne; ale każda z nich świadczyła niezbyt zaszczytnie o charakterze rzekomego wojaka, wystawiając go jako pieczeniara, szulera, człowieka, żyjącego cudzem kosztem, nie rachującego się z honorem i nie przebijającego w środkach, gdy szło o zdobycie pieniędzy.

Jak sobie teraz Hulatyński rozważał, wszystko złe, które słyszał kiedykolwiek o majorze, wyszło z ust Franciszka, ale w sposób tak zręczny, że nie miało to wcale pozorów oszczerstwa. Hulatyński słuchał opowiadań Franciszka tak, jak się słucha ciekawych bajeczek z uśmiechem na ustach, i ani się spostrzegł, jak z tych wesołych opowiadań utworzył sobie o majorze wyobrażenie, że to wierutny szubrawiec, którego towarzystwo znosił przez wrodzoną pobłażliwość, dla tego, że nie chciał wywołać zgorszenia wyraźnym odpędzeniem go od siebie.

Zkąd datowała się nienawiść Franciszka do majora? — tego Hulatyński nie mógł wymiarkować. Czy major zawadzał Franciszkowi, czy też ten czuł po prostu do niego antypatyą — dość, że go nie znosił.

Otóż Hulatyński umyślił sobie skorzystać z tej nienawiści swego dawnego służącego i użyć jej teraz przeciw Rąbigoszewskiemu i jego współnikom. Aby zaś więcej jeszcze rozjątrzyć Franciszka, ostrzegał go, żeby się miał na baczności przed majorem, bo ten chce go wysadzić z służby.

Nie było to zmyślenie, bo w istocie Hulatyński, wioząc raz Anatola z Rąbigoszewskim, słyszał, jak ten radził mu zmienić służącego, malując Franciszka z najgorszej strony i obiecując mu wyszukać innego sługę, z którego będzie nierównie więcej zadowolony.

Ostrzeżenie Hulatyńskiego wywarło skutek. Franciszek wybuchnął oburzeniem.

— To on taki? — zawołał. — To za to, że ja zęby ściskam i nie mówię nic przed panem Anatolem, dla miłego spokoju, — on mi buty szyje za plecami? Dobrze. Popamięta on mnie długo, jak mu przystawię stołka. Niech mój pan dowie się, co to za ptaszek. Bo trzeba wam wiedzieć, że to szelma ostatniego gatunku.

I zaczął wylizywać całą litanią nikczemności popełnionych przez majora, z których wiele już Hulatyński znał, ale wiele było takich, o których teraz dopiero się dowiedział.

— I że też to panowie żyją z takim człowiekiem! — zrobił uwagę Hulatyński.

— Bo im potrzebny. Gdzie sami powalać się nie chcą, tam takich używają.

— Tomasz mi tam takie ciekawe rzeczy opowiadał o tym panu i o jakiejś pięknej pani i jej mężu.

— Korbucie?

— Może znacie już tę historią?

— Co nie co wiem, że mój dawny pan kochał się w jego żonie.

— Za co sobie grubo mąż zapłacić kazał.

— Zapłacić? Tego nie słyszałem.

— Tomasz był naocznym świadkiem, jak od tamtego pana wymogli jakiś weksel na grubą sumę.

— Wymusili na nim? — zawołał ucieszony. — A wiecie, że to pachnie kryminałem? I majorek miał w tem udział?

— Tak. Był w zмовie z mężem.  
— Jaka szkoda, że Hulatyński nie przyznał mi się do tego! Możliwy byłoby majora i jego wspólników za wymuszenie pieniędzy wsadzić do ciupy.  
— Zdaje się, że oni znowu myślą o czemś podobnym.  
— Z kim? Może z moim terazniejszym panem?  
— Tak.  
— Alboż on zna się z żoną Korbuta?  
— Poznali się z sobą.  
— Tak? To trzeba będzie dać znać do policyi, żeby ich miała na oku i schwytać ptaszków na gorącym uczynku. Tożby to dopiero była uciecha — mówił, zacierając ręce, — gdyby się tak dało majorunia umieścić w kryminale! To mu się już dawno należy.  
— Byle tylko ich schwytać w porę.  
— Nie bójcie się, już moja w tem głowa. Mam ją w policyi znajomego inspektora. Sprytna szelma słyszy jak trawa rośnie. Jak on ich weźmie w opiekę, to mu się nie wywiną, i będziemy wiedzieli o wszystkim. Ho, ho! Nie dajmy oskupać pana Anatola, jak tamtego oskubali. I my coś przytem zarobimy.  
— Ja tam o nagrodę nie stoję.  
— A to pytanie, dlaczego by nie? Wam się to słusznie należy, boście wy mi pierwsi oczy otworzyli na to szelmostwo. Podzielimy się, jak Bóg przykazał.  
Hulatyński nie sprzeciwiał mu się dłużej, bojąc się, by zbyt dużą delikatnością i bezinteresownością nie zdradził się przed służącym, — kontent był, że znalazł sobie tak dzielnego sprzymierzeńca, który będzie miał na oku łotrowską spółkę. Mógł teraz być spokojnym o Anatola, że mu się nic złego nie stanie.

## VII

Pomoc Franciszka była bardzo na rękę Hulatyńskiemu, tem więcej, że zaszły w tym czasie wypadki, które mu nie pozwoliły przez parę tygodni zajmować się wcale Anatolem, ani Julią i jej mężem, bo miał u siebie w domu dosyć kłopotu i zajęcia — a to z powodu śmierci Tomaszowej.

Raz wieszając bieliznę na strychu, poślizgnęła się na belce i spadła z dość wysoka. Zrazu zdawało się, że to nic, bo oprócz silnego stłuczenia, nie było żadnych widocznych znaków, ale po kilku dniach zaczęła stękać, narzekać, na jakieś bole w krzyżach, pokładać się, a w końcu rozchorowała się na dobre. Kumoszki jej utrzymywały, że sobie coś odbiła w wnętrznościach, i leczyły ją smarowaniami, ziołami i okładami. Nic to nie pomogło; chora sama wiedziała, że z nią coraz gorzej i poprosiła o księdza.

Dzieci poleciała opiece Hulatyńskiego, na jego też ręce złożyła posag dla Maryni i resztę zaoszczędzonych pieniędzy. Oddawała mu ciężko zapracowany grosz z wiarą, że dzieciom krzywdy nie zrobi, że będzie ojcem dla sierot.

Hulatyński nie mógł jej tego odmówić i przyjął opiekę nad dziećmi.

Ale łatwiej było przyrzec niż spełnić. Zakłopotał się niemało, gdy mu przyszło zająć się dziećmi i całym gospodarstwem. Z gospodarstwem poradził sobie jeszcze jako tako, bo przyjął do służby starą kucharkę, która jeść gotowała i domem zarządzała. Ale gorzej szło mu z dziećmi, a właściwie z Marynią, bo Kazik dawał sobie już radę i nie wiele potrzebował opieki. Inna rzecz była z małą dziewczyną, która potrzebowała staranniejszego pielęgnowania, o czem nie miał najmniejszego pojęcia, a kucharka także nic nie wiele rozumiała się na tem. Trzeba było w lepsze stosowniejsze miejsce oddać dziewczynę.

Radzono mu, żeby ją oddał do freblowskiej szkoły, którą na tej samej ulicy miała jakaś pani czy panna, — utrzymująca zarazem kilka dziewczątek na stancyi i wikcie.

Hulatyński niezwłocznie poszedł pomówić z tą panią, czyby się nie dało umieścić u niej Maryni, i zgodzić się o cenę w razie, gdyby mu się tam spodobało.

Freblowska szkółka mieściła się o kilka domów od jego pomieszkania, w parterowym budynku za sztachetkami w ogródku.

Właścielki samej nie zastał w domu, ale służąca, która mu furtkę otworzyła, oświadczyła, że wróci za chwilę z miasta, i poprosiła go do saloniku, którego umeblowanie nader skromne świadczyło o niesławnym położeniu majątkowym.

Hulatyński, czekając dość długo powrotu pani domu, miał czas rozejrzeć się w mieszkaniu. Zauważył stary klawikorcik, wytarty z politurą od starości i ciągłego używania, czarną ceratową kanapkę, duży głęboki fotel przy oknie zaciemnionem fuksjami i geranią, wreszcie stolik nakryty serwetką szydełkowej roboty.

Obejrawszy te sprzęty podniósł oczy wyżej, i dla skrócenia czasu począł przypatrywać się zegarowi na ścianie, oleodrukowi i sztychom.

Naraz zajęła uwagę jego fotografia wisząca nad komodą. Zajęła go do tego stopnia że niedowierzając oczom wstał i poszedł bliżej, aby się lepiej przypatrzeć.

Tak — w istocie to nie było żadne złudzenie. Fotografia wystawiała jego samego w dawnych czasach, może o dziesięć lat wstecz, a chociaż spłowiła już była od słońca i starości, jednak stosunkowo kosztowne ramy, w jakie była oprawna, oraz honorowe miejsce, na jakim ją zawieszono wskazywały, że była tu ona w wielkim poszanowaniu, że sobie ją ceniono bardzo.

To go zaciękało.

— Zkąd — spytał samego siebie — ta fotografia mogła się znaleźć tutaj?

— To nasz dobry znajomy pan Hulatyński — odezwał się za nim jakiś głos pod oknem.

Hulatyński obrócił się żywo w stronę i zobaczył, czego w pierwszej chwili nie spostrzegł, że duży fotel nie był próżny, że siedziała w nim nieruchoma i żółta jak mumia, jakaś skruszona pomarszczona staruszka.

Obecność jej zmieszała mocno Hulatyńskiego, nie przypuszczał bowiem, że ktoś jest w pokoju, nie zachowywał zwykłych środków ostrożności, był więcej sobą. Bał się więc, czy staruszka nie zauważyła tego. Ale ona zajęta widać własnymi myślami, nie dostrzegła wcale różnicy, zachodzącej między zachowaniem się gościa, a jego ubiorem, i mówiła dalej zadowolona, że się może wygadać i pochwalić przed obcymi.

— Tak, tak — mówiła — tę fotografią on sam nam ofiarował. Jest jego własnoręczny podpis na drugiej stronie, zobacz pan.

Hulatyński ze zdumieniem spojrział na staruszkę. A więc ta fotografia nie przypadkiem dostała się do tego domu, sam ją dał z podpisem, więc musiał znać dobrze tę kobietę i ona jego. Szukał w pamięci, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy widział kiedy w życiu tę staruszkę.

Inaczej sobie zapewne wytłumaczyła jego badawcze spojrzenie, bo rzekła:

— Pana to dziwi, że taki pan bywał u nas. Ho, ho! nie tacy bywali. Hrabiowie, książęta starali się o moje względy.

To, co mówiła, tak nie licowało z jej ubóstwem, że Hulatyński wziął ją za osobę dotkniętą chorobą umysłową, i nie przywiązał wcale wagi do jej paplaniny. Obojętnie przysłuchiwał się temu co mówiła.

— Tak, tak — ciągnęła dalej, — miałam ja piękne chwile w życiu, ale bo też nie byłam taka jak dzisiaj. Gdybyś mnie pan był znał przed dziesięciu laty! Gazety rozpisywały się wtedy o mnie. Nieszczęście chciało, że mię zawiąło na scenie. Przeciągi były okropne, ja zgrzana wyszłam z gorącej garderoby, połamało mnie, sparaliżowało, i z pięknej kobiety zostałam kaleką na wieczne czasy.

Łzy zaświeciły w jej oczach i stoczyły się sznurkiem po pergaminowej twarzy. Próbowala je otrzeć chustką i podnosiła ręce kościste do góry, ale te wnet opadły bezwładnie na dół.

— Tak, tak, panie, niktby teraz nie poznał pięknej Natalii Śniateckiej.

Hulatyński pamiętał to nazwisko, znał dobrze Śniatecką. Ależ...

Spojrzał z niedowierzaniem na staruszkę. Więc ta połamana, zwiędła kobieta miała być ową Śniatecką, za którą uganiała się młodzież kilkanaście lat temu? — oczom własnym nie wierzył, widząc ją tak strasznie zmienioną.

Była to aktorka dosyć miernych zdolności, ale była nadzwyczaj piękna i dla tego miała wielkie powodzenie. Panowie z arystokracji szaszczykali ją swojemi względami i bywali u niej. Hulatyński także tam chodził dla zabicia czasu i przyjemnego spędzenia wieczoru, bo bawiono się u niej doskonale.

Przypomniał sobie teraz, że miała przy sobie kuzynkę, której na imię było Olimpka, a która mu bardzo w oko wpadła i zajmowała go dość długo. Było to dziewczętko bardzo

jeszcze młode, dziecko prawie, które dopiero wchodziło w panieńskie latka i w dłuższe sukienki, — trochę jeszcze niezgrabne, trwożliwe, nieśmiałe, ale miało urok niewinności, który Hulatyńskiego pociągał.

Odgrzebując pamięć te wspomnienia, przypomniał sobie pierwsze chwile poznania tej panienki. Było to podczas jakiegoś bankietu u Śniateckiej. Po wieczerzy i szampanie, który go trochę odurzył, zmęczony towarzystwem, hałaśliwą wesołością, gdy mu ból głowy dokuczać zaczął, usunął się cichaczem do drugiego pokoju, i tam położył się na sofie, aby wypocząć nieco. Leżąc tak jakiś czas spokojnie, nieruchomo, zauważył jakiś głos jednostajny, przytłumiony, jakby ustawiczne brzęczenie, oraz wązki pasek światła padający przez dziurkę od klucza do przyćmionego pokoju, w którym się znajdował.

Zaciekawiony, co to za głos jednostajny, jak brzęczenie muchy, wstał i zbliżył się na palcach do drzwi, i przyłożywszy oko do dziurki od klucza, zobaczył na tle białej ściany, oświetlonej kuchenną lampką, profil młodej panienki.

Mogła mieć najwyżej lat szesnaście, twarzyczkę miała miluchną, zarumienioną w tej chwili zapalem, z jakim oddawała się nauce, oczy czarne, nad czołem gęsta grzywka, którą powichrzyła nieco rękoma, mając na nich opartą główkę. Uczyla się tak zapamiętała, że cała jej uwaga skupiła się w książce, na którą co chwila spuszczała oczy i podnosiła je znowu do góry, ruszała przy tem wargami, jakby opowiadała sufitowi to, co w książce wyczytała.

Hulatyński przypatrywał się jej z wielkiem zajęciem. To dziewczątka młode, otoczona jakąś świetlaną aureolą niewinności i pracy, dziwny kontrast stanowiło z hulaszczem towarzystwem w salonie, skąd dochodziły go rozpasane śmiechy i wyuzdana wesołość.

Nie poprzestał jednak na roli obserwatora. Przyzwyczajony isć zawsze za pierwszym popędem, wszedł bez ceremonii do następnego pokoju.

Była to właściwie kuchnia. Kucharka nierozebrana drzymała na stołku, oparłszy głowę na kolorowej pierzynie, kot bury zwinąwszy łapy pod siebie drzemał także na poręczu łóżka. Za wejściem Hulatyńskiego otworzył oczy, popatrzył na wchodzącego i znowu je zamknął.

Drobne te szczegóły utkwily mu w pamięci, poruszone powstawały w myślach jeden po drugim i uprzytomniły mu ową chwilę i pierwsze wrażenia.

Pamiętał dobrze, że panienka zajęta nauką, mając przytem uszka przyciśniętą rękoma, nie słyszała jego wejścia. Dopiero, gdy stanął tuż przy niej, zerwała się przestraszona, i spojrzała na niego tak trwoźnie i niespokojnie a zarazem błagalnie, broniąc się tem spojrzeniem od jego napaści, że Hulatyńskiego spojrzenie to onieśmieliło, i chcąc uprządkować swoje wejście, poprosił jej o szklankę wody.

Podawała mu ją ze skwapliwością, jakby chciała go się pozbyć copędzej.

Hulatyński jednak nie myślał wcale odchodzić. Pił długo, a przynajmniej udawał, że pije, a oczyma tymczasem pożerał panienkę, która stała przed nim ze spuszczonej oczkami, zakłopotana, nie wiedząca co robić ze sobą. Przypatrywał się z lubością jej gęstym warkoczom związanym z tyłu w pół aksamitną wstążeczką, jej długim rzęsom, których cień padał do połowy twarzy płonącej wstydliwem rumieńcem, i choć widział, że niecierpliwie wykręcała sobie paluszki i przestępowała z nogi na nogę, czekając aż sobie pójdzie, nie myślał wcale odchodzić.

Aby mieć jednak powód przedłużenia tu swojej bytności, wziął książkę leżącą na stole, obejrzał ją i spytał, czego się uczy?

Wyrecytowała mu odpowiedź pospiesznie jak lekcją, że się uczy geografii, że ma się jeszcze uczyć religii i niemieckiego, że teraz mają się w ogóle bardzo wiele uczyć, bo egzamina wkrótce nastąpią. Z dalszej rozmowy dowiedział się, że jest sierotą, że ciocia Natalia wzięła ją do siebie po śmierci matki, że chodzi do seminarium i kształci się na nauczycielkę.

Hulatyński obracając się wśród kobiet światowych, albo też dam z półświatka, nie miał nigdy sposobności obcowania z tego rodzaju podlotkami, nie owianemi jeszcze atmosferą zepsucia. Nic też dziwnego, że młode dziewczątka zrobiło na nim niezwykle wrażenie, i zajął się niem bardzo.

Zaraz na drugi dzień oświadczył Natalii, żeby Olimpkę kształciła i wychowała jego kosztem. Kazał jej posprawić sukienki, książki, kapelusze i rościagał nad nią jakby ro-

dzicielską opiekę. Bywał teraz także częstym gościem w domu Natalii, a zawsze w takiej porze, aby mógł zastać Olimpię, więc zwykle w porze obiadowej, bo wtedy żadnych gości nie było. Dla Olimpię słuchał pobłażliwie pustej gadaniny Natalii, która go bawić usiłowała, a raczej udawał, że słucha, a oczyma tymczasem pożerał młodzieńką pensjonarkę.

Wydawała mu się przesliczną, pełną wdzięku; nawet szczupłość jej i nierozwinięte jeszcze kształty, nieśmiałość i niezgrabne ruchy miały w jego oczach niesłychany urok pączka nie rozkwitłego jeszcze. Gniewało go to tylko, że była taka dzika, że unikała jego spojrzeń i trzymała się zdala od niego. Siedziała zawsze z oczyma utkwionymi w talerz, nie mówiąc nic i odpowiadając krótko na jego pytania. Gniewało go to, ale zarazem pociągało jeszcze bardziej do niej.

Tak mało przyzwyczajony był do uporu ze strony kobiet, że przeszkoda, którą znalazł na drodze, była dla niego miłą niespodzianką. Zdobyć sobie serduszko tak niedostępne, — to był dla niego rodzaj sportu, wyścig z przeszkodami. Żadna ofiara zrobiona w tym celu nie wydawała mu się za wielką, wysilał też wyobraźnię na sprawianie jej ciągłych niespodzianek, obsypywał ją i Natalię, — bo nie wypadało i tej pomijać, tembardziej szło mu o to, aby ją sobie pozyskać, — więc obsypywał obie prezentami, bukietami, cukrami, woził je na spacer, a wszystko dla pozyskania sobie życzliwości „kopciuszka”, jak Natalia przezywała żartobliwie swoją siostrzenicę. Największą dla niego rozkoszą było widzieć ją zadowoloną, uśmiechniętą. Na każdym kroku dawał jej dowody swojej pamięci i troskliwości o nią — tak, że aż Natalia poczęła zasepiać się na to.

— Ależ na miłość bożką! — powiedziała mu pewnego razu, gdy wysadzając Olimpię z powozu, jej zapomniał zupełnie podać rękę, — zaniedbujesz mię pan formalnie dla tej smarkatej. Gdybyśmy tak obie wpadły w wodę, to jestem pewna, żebyś mi najspokojniej pozwolił się topić, bylebyś Olimpię mógł wyratować.

Mówiła to śmiejąc się — na pół żartem, w którym jednak było trochę prawdy, i urazy.

Niepodobna było, żeby takie oznaki przywiązania, zajęcia się, nie zawróciły główki młodej panience. Poznać to można było po spojrzeniach pełnych wdzięczności, jakie oblewała go dziękując za wyświadczane grzeczności, po rumieńcach, jakie występowały jej na twarz, gdy przychodził, lub gdy z nią rozmawiał.

Wytrawne w tym względzie oko Hulatyńskiego, prędko odgadło przemianę, jaka po kilku tygodniach zaszła w jej postępowaniu i całym zachowaniem się względem niego. Doszło do tego, że mu nawet dość wyraźnie powiedziała, mimo wrodzonej nieśmiałości.

Było to za miastem w polu, dokąd we troje wyjechali na spacer. Natalii zachciało się szukać szczęścia w koniczynie. Olimpia poszła za jej przykładem, i z pochyloną głową chodząc tu i tam, upatrywała pilnie czterolistnej koniczyny. Hulatyński tymczasem położył się w cieniu drzewa na trawie i palił cygaro.

Po niejakiem czasie Olimpia zbliżyła się do niego i płonąć cała jak to było jej zwyczajem, podała mu z nieśmiałością czterolistną koniczynę.

— Weź pan to — rzekła — i noś przy sobie, bo to szczęście przynosi.

— A dla czegoż panna Olimpia nie bierze tego dla siebie? — spytał topiąc w niej spojrzenie pełne wdzięczności za pamięć o nim.

— Bo... bo ja wolę, żeby byli szczęśliwi ci, których... — i nieśmiała dokończyć.

— Których co?

— Których lubię.

— Więc panna Olimpia mnie lubi? — spytał biorąc ją za rękę.

— Alboż pan tego nie widzisz? — odrzekła mu z dziecinną szczerością, która go ucieszyła stokroć więcej, niż najgorętsze wyznania innych kobiet.

— Skoro tak — rzekł — to muszę zachować ten talizman szczęścia.

Wziął w rękę medalionik złoty, który wisiał u łańcuszka od zegarka, z cyfrą jego, ułożoną z dyamencików, otworzył go i włożył weń listek.

Olimpia z zajęciem przypatrywała się medalionowi, cyfrze, a potem ją wkładał listek.

— A co tam jest więcej? — spytała.

— Włosy mojej nieboszczki matki.

Nastała chwila milczenia, chwila dziwnie uroczysta, która Hulatyńskiemu utkwiała w pamięci.



Olimpka była tak wzruszoną w tej chwili, że nic mówić nie mogła, ale oczy jej mówiły za nią i dziękowały mu za ten zaszczyt, że listek z jej ręki umieścił obok pamiątki po matce. Aż spoważniała z tego zaszczytu.

Medalion ten do dziś dnia wisiał u niego przy zegarku, tylko że schowany przed ludźmi. Czy w nim znajdowała się czterolistna koniczyna? — prawdopodobnie! ale pewnym tego nie był, bo od tego czasu nie zaglądał do medalionu, i zapomniał zupełnie o tej pamiątce, gdy tę, co mu ją dała, stracił z oczu i z myśli.

Mała na pozór okoliczność przerwała tę piękną sielankę. Czuł jakiś nieokreślony szacunek dla młodego dziewczęcia: on, który przywykł kobiety traktować sobie dość lekko, dla niej był zupełnie inny, nie wyrwał się przy niej nigdy z żadnym dwuznacznikiem, z żadnym śmielszym słowem, a gdy Natalia pozwoliła sobie czasem przy niej coś podobnego, karcił ją surowym wzrokiem za to i parę razy ostro jej to potem wymówił.

Ale gdy raz znalazł się przypadkiem sam na sam z Olimpką, przyszła i na niego chwila zapomnienia, pochwyił ją w objęcia i gorący pocałunek wycisnął na jej nieskalanych ustach. Nie odtrąciła go, nie bronila się, tylko przymknęła oczy i zbladła straszliwie. Dopiero po chwili wybuchnęła serdecznym płaczem.

— Olimpko, co ci jest? — dla czego płaczesz?

I, przytuliwszy ją do siebie, chciał znowu pocałować.

— Niech pan tego nie robi — odezwała się błagalnie — bo mi to wielką przykrość sprawia.

— Przykrość? Dla czego?

— Bo to grzech.

— Grzech całować? Jeżeli się kogo kocha, jak ja ciebie, to go się całuje.

— Ale po ślubie.

Przypomnienie ślubu oblało go, jak zimną wodą. Obudziło się w nim podejrzenie, że może całe postępowanie Olimpki obliczone było na to, aby go złapać na męża. Nie posądzał, żeby ona sama z siebie to robiła. Ale mogła być narzędziem w ręku Natalii i odgrywała rolę, jaką jej kazano.

Przypomniał sobie, że Natalia raz widząc jego nadszkiewania Olimpce, pogroziła mu palcem i rzekła na boku:

— No, no, nie bałamuć mi dziewczyny. Ożenić się z nią pewnie nie zechcesz, a na miłości ja nie pozwolę.

Słowa te wyglądały bardzo na śledztwo, na wybadanie jego intencji. To ostudziło bardzo jego zapały. Przeląkł się, iż rzeczy dalej zaszły, niż sobie życzył i postanowił wycofać się, a najskuteczniejszym środkiem było przestać bywać u Natalii.

Kosztowało go to z początku dużo. Tak przywykł do bywania tam, do poufnej pogawędki, że obejść się bez tego nie mógł i siłą musiał powstrzymać się, aby tam nie pójść. Dla radykalniejszego wyleczenia się z tej, jak ją potem nazywał, słabości, wyjechał na czas jakiś za granicę, rzucił się w wir zabaw, szalał, ucztował, grał, pił i słabość przeszła, tak, że gdy wrócił, był już zupełnie wyleczony.

Do kuracyi przyczyniła się nie mało nieobecność Natalii, która przez ten czas wyjechała była gdzieś na prowincję do wędrowniej trupy. W parę lat wyszumiała mu zupełnie z głowy owa chwilowa skłonność, nowe wrażenia zatarły ją w pamięci.

Trzebaż zdarzenia, że teraz, po latach dziesięciu, schodzi się znowu z temi kobietami, w zupełnie odmiennych warunkach. Dawne wspomnienia i uczucia ożyły w nim na widok tej fotografii, którą one z taką czcią przechowywały. A więc nie zapomniała o nim, gdy on nie myślał nawet o niej.

Z dalszej rozmowy ze staruszką dowiedział się, że Olimpka jest jeszcze panną, bo nie chciała wyjść za mąż, choć jej się wcale nie złe partye trafiały — raz jakiś urzędnik z kolei, drugi raz profesor i inni.

— Nabila sobie dziewczyna głowę kim innym — mówiła staruszka — i ani rusz jej wyperswadować.

Hulatyński, słysząc to, doznawał wyrzutów sumienia. Czuł się upokorzony tą miłością, na którą nie zasłużył. Ale też on nie miał wyobrażenia, że istnieją podobne kobiety na świecie, które kochają bez nadziei, że im zapłacą za tę miłość obrączką ślubną. Teraz taka miłość wydawała mu się świętością, przed którą kornie uchylił głowę.

Ogarnęło go uczucie lęku, a zarazem niewysłowione pragnienie zobaczenia Olimpi i gdy usłyszał kroki idącej po schodach, serce mu bić zaczęło ze wzruszenia i nogi w kolanach się ugięły, że usiąść musiał.

Weszła.

Hulatyński poznał ją od razu, tak się mało zmieniła. Przybyło jej tylko powagi i surowości.

Już to nie była owa trwożliwa, nieśmiała dziewczynka — ale kobieta, którą walka z życiem okryła powagą i nadała pewność i hart prawie mężki. Twarz jej bledsza, niż dawniej, wypiękniała jeszcze więcej wyrazem cierpienia i jakiejś szlachetnej dumy.

Hulatyński stał przed nią, jak żak, zakłopotany i nieśmiały.

Wskazała mu krzesło i rozpoczęła z nim rozmowę o interesie, dla którego tu przyszedł.

Ukladał się z nią o Marynię i mówili nawet dość długo ze sobą, ale co mówił, jak długo, kiedy się pożegnał z nią, jak się znalazł potem na schodach, na ulicy — tego nie wiedział. Robił to wszystko, jakby lunatyk we śnie, bo nie mógł jeszcze wyjść z zaczarowanego koła podziwu, w jaki go wprawił widok osoby tak dobrze znajomej, tak sympatycznej dla niego i wiadomość, że ta osoba przez tyle lat zachowała dla niego niezmiennie uczucie. Zdawało mu się to wszystko jakimś snem rozkosznym, z którego budziły go kiedy niekiedy potrącania przechodzących. Właściwie on to rozbijał się o ludzi i potrącał ich, jak pijany, ale nie wiedział o tem. Jemu się zdawało, że to oni tak niezręcznie mijają go i dziwił się, dla czego za to obrzucali go jeszcze surowem spojrzeniem i coś mruczeli pod nosem. Dziwił się, czemu ci ludzie tacy niegrzeczni?

Dopiero w domu oprzytomniał trochę, gdy Marynia spytała go, czy zastał panią profesorową?

Spojrzał na nią, jak człowiek ze snu przebudzony i wtedy dopiero spostrzegł, że w rękę ścisnął jakiś papier.

Rozwinął, wyprostował na ręce i przeczytał. Było to pokwitowanie z odbioru zadatku, złożonego za Marynię. Na kwicie było wypisane: Olimpia Śniatecka.

A więc to nie był sen. Więc on rzeczywiście widział Olimpkę! I myślał dalej, jak dużo musiał przeżyć kłopotów, aby się dowiedział, że od tylu lat jest kochany miłością wielką, o jakiej nie miał wyobrażenia, aby się zeszedł z tą, która go tyle kochała.

Wiedział, że nie wart tej miłości, że w obecnych warunkach ani mógł marzyć w utrwaleniu tej miłości małżeństwem, bo nie przypuszczał, żeby Olimpka jakkolwiek kochała się w nim, jako w Hulatyńskim, zechciała iść za niego, gdy został prostym dorózką. Ale cieszyło go, iż wie, że jest ktoś na tym świecie, co myśli o nim, że tę osobę będzie widywał i to dość często, odwiedzając Marynię. Cieszyło go, że Marynia właśnie ją będzie miała za opiekunkę i nauczycielkę, a on będzie czuwał i nad jedną i nad drugą, i może przyda im się na co. Dziękował Bogu, że go uchował od samobójczej śmierci.

Życie nabrało w jego oczach niezwykłego uroku, gdy patrzył na nie teraz przez pryzmat miłości. Przebudzone serce rzucało na cały świat słoneczne blaski. Był tak szczęśliwy w tej chwili, że wziął małą Marynię na ręce i zaczął ją całować z radości.

## VIII

Gdy Marynia razem z swoim żelaznym łódeczkiem i zielonym kuferkiem przeniosła się na mieszkanie do nowej opiekunki i nauczycielki, i Hulatyński, i Kazik wkręcili się tam także za nią. Kazik codziennie znalazł jakiś pilny interes do siostry, wpadał na minutkę, a siedział godzinami. Hulatyński mając zatrudnienie za domem, na mieście, nie mógł sobie pozwalać odwiedzać tak często swojej wychowanki; ale przychodził regularnie co niedziela, a w piękny czas, zabierał do dorózki i Kazika, i Marynię, i jej nauczycielkę, i sparaliżowaną jej ciotkę. Wywoził je za miasto, do lasu, na świeże powietrze.

Olimpia z wyrazem niewysłowionej wdzięczności przyjmowała te jego przysługi, nie tyle ze względu na siebie, ile na ciotkę, która cieszyła się jak dziecko na ten wyjazd, czego pozwolićby sobie nie mogły, gdyby wypadło płacić za dorózkę, bo na to ich skromne dochody nie wystarczały.

Hulatyńskiego cieszyło niezmiernie, że tą małą przysługą sprawia tyle radości — i z wyrazem zadowolenia spoglądał z wysokości kozła na tę gromadkę siedzącą w po-

wozie, i przysłuchiwał się wesolej paplaninie dzieci, tulących się do Olimpki, jakby do matki, gdyż otaczała je prawdziwie matczyną opieką i serdeczną życzliwością.

Tych kilka osób tworzyło jakby jedną rodzinę.

Kiedy przyjechali do lasu, ciotkę wysadzał Hulatyński z pomocą Olimpki i umieszczano ją na rozkładanym krześle, a koło niej urządzano rodzaj obozu, dobywano z powozu kosz z prowiantami, rozkładano serwetę na murawie — i Olimpia, założywszy fartuszek, uwijała się około dzieci i podwieczorku, w którym także i on brał udział, zresztą o tyle tylko, że trzymał się nieco na uboczu od nich, pomimo uprzejmych zaproszeń ciotki i panny.

Umyślnie nie chciał przekraczać granicy, jaką mu stawiało obecne położenie, aby się nie zdradzić przed nimi i zwracać na siebie uwagi innych, których nie mało zjeżdżało się w święta do lasu.

Wystarczyło mu zupełnie, że mógł z daleka przypatrywać i przysłuchiwać się tym, którzy tak drogimi byli jego sercu. Doznawał nieopisanej radości, że znajdował się tak blisko tej, która przez tyle lat dochowała mu wiernie miłości wzbudzonej przezeń w jej sercu, oraz, że ona nic nie wie o tem, iż przedmiot jej miłości znajduje się tak blisko. Wyglądało to na ustęp z jakiegoś romansu, na coś, o czem się nieraz w książkach czyta.

Gdy ją widział niekiedy zamyśloną, miłość własna szeptała mu, że może myśli o nim i pamięcią odgrzebuje dawne wspomnienia.

Nieraz brała go ochota zbliżyć się do niej i głosem, jakim dawniej przemawiał, powiedzieć:

— Panno Olimpio, to ja, nie poznajesz mnie?

Ale wstrzymywała go zawsze obawa, że może jego dzisiejsze położenie, jego twarz zeszepecona przestraszyłyby ją i ostudziły ową miłość, jaką miała dla dawnego Hulatyńskiego. Wolał więc zostawić ją w złudzeniu, niż narażać się na utratę jej miłości, która go tak uszczęśliwiała.

Niezadowolone, jakieby może wtedy wyczytała na jego twarzy, wypędziłoby go z raj, w którym było mu tak dobrze. Było tego co miał, tak wiele, że bał się pokusić o więcej, aby nie stracił tego, co posiadał. Wystarczyło mu przekonanie, że on jeden jedyny panuje w tem cichem, pocziwem serduszku, i drżał, jak skąpiec, na myśl straty tego skarbu.

Kiedy raz do Olimpki, bawiącej się z dziećmi w kotka i myszkę, zbliżył się jakiś jegomość i rozpoczął z nią rozmowę, a ciotka widząc to, szepnęła Hulatyńskiemu, że to właśnie jeden z tych, którzy starali się o Olimpkę, krew mu uderzyła do głowy z oburzenia i spochmurniał nagle, zwłaszcza, gdy zobaczył twarz Olimpki ożywioną i rozpromienioną. Była taka dla tego, że zabawa z dziećmi, bieganie po lesie wywołało rumieńce na jej twarzy, ale on sobie inaczej to tłumaczył i zaczął się burzyć i niepokoić, a nie mogąc w inny sposób przerwać rozmowy z owym panem, zawołał dzieci, żeby się zbierały, szorstko oświadczając, że dłużej czekać nie może. Zazdrość zrobiła go niegrzecznym.

Przewidywał za to od Olimpki wymówki, albo przynajmniej krzywe miny. Ale ona w tej chwili zaczęła ubierać dzieci, pożegnała się z owym panem i wsiadła do powozu bez cienia jakiegokolwiek urazy lub gniewu. To go rozbroiło, i żal go ogarnął, że się z nią tak obszedł.

Pewnej niedzieli inna go znowu spotkała nieprzyjemność, kiedy oparty na biczysku stał i przypatrywał się, jak Olimпка uśmiechnięta krajała chleb dziatwie, co mu przypomniało jakiś obraz gdzieś kiedyś widziany, — naraz, usłyszał poza sobą głos znany:

— A trzynastka — dobrze, że tu jesteś, — i czując rękę uczul na swoim ramieniu.

Obejrzał się i zobaczył Rąbigoszewskiego, idącego w towarzystwie dwóch mocno podchmielonych paniczków.

— Dobrze, że jesteś, pojedziesz z nami, bo nasz gałgan fiakr zrobił nam zawód i nie przyjechał! No, siadajcie panowie.

— Nie można — rzekł Hulatyński, zastępując mu dość niegrzecznie drogę, — bo ja jestem z gośćmi.

— A gdzie ci goście?

Wskazał na siedzących nieopodal.

— Jakto ci? Żartujesz chyba. A zkadże takie biedy mają na płacenie sobie doróżki na całe pół dnia? — Chyba, że ta panienka ma opiekuna, co ci za nią płaci? A nieszpeta — mówił dalej przypatrując się Olimpce z bezszelną śmiałością przez szkiełka.

Hulatyński aż pięści zaciskał z gniewu i oburzenia. Miał ochotę pałać go w twarz za ten ton lekceważący, z jakim śmiał się o Olimpcie wyrażać. Siłą tylko woli powstrzymał się od zrobienia awantury.

Rąbigoszewski tymczasem, nie uważając na niego, zbliżył się bez ceremonii do panny i zaproponował jej, czyby mu nie pozwoliła zabrać powozu na tyle tylko czasu, aby ich odwiózł, że on dobrze jej zapłaci za to. Nim zmieszana Olimpka tem niespodziewanem pytaniem, miała czas odpowiedzieć, Hulatyński prędko wyręczył ją i oświadczył gburawo, że on z nikim nie pojedzie, tylko z tymi, z którymi się zgodził.

Rąbigoszewski rad nie rad musiał ustąpić, odchodząc jednak miał czas rzucić jeszcze kilka cynicznych spojrzeń na Olimpię, a wróciwszy do swoich towarzyszy, coś im szeptał do ucha i wskazywał na nią.

Hulatyńskiemu krew kipiała z oburzenia, że śmiano w tak ubliżający sposób obserwować kobietę, uwielbianą przez niego. Zarazem przyszła mu na myśl, jak często ona idąc sama przez ulicę może być narażoną na zaczepki podobnych błaznów! Wiedział z własnego doświadczenia z lat dawniejszych, że tego rodzaju młodzież nie zna względów na kobiety niskiego stanu i uważa je za stworzone na to tylko, aby im służyły do chwilowej zabawki. Wtedy nie widział w podobnym postępowaniu nic złego, dziś mu się to okazało ohydne, żeby tak lekceważyć uczciwość kobiety i robić sobie z niej zabawkę.

Zaczął na seryo obawiać się o Olimpię, a zazdrość powiększyła mu jeszcze więcej niebezpieczeństwa, na jakie mogła być narażoną. Obawy jego nabrały większej pewności, gdy raz wieczorem zobaczył Rąbigoszewskiego, kręcącego się około mieszkania Olimpki. Odtąd rozciągnął nad nią większą opiekę, rozumie się tak, żeby ona nic o tem nie wiedziała. Gdy naprzykład zobaczył ją idącą przez miasto, to jechał za nią z daleka powoli, obserwując, czy jej kto nie zaczepi, nie odprowadzi. Wieczorem nieraz umyślnie przejeżdżał przez ulicę, na której mieszkała, upatrując pilnie, czy gdzie kto na nią nie czeka. Pewnego dnia w rozmowie z nią radził jej, aby dla bezpieczeństwa zamykała na noc okiennicę, niby przed złodziejami. W takiej był ciąglej trwodze o nią. Codziennie droższą mu była. Na dom, w którym mieszkała, patrzył, gdy przejeżdżał mimo jak na świątynię, z pewną czcią bałwochwalczą. Serce mu biło przyspieszonym tętnem, gdy się tam zbliżał, robiło mu się smutno, pusto, gdy dom ten tracił z oczu, gdy wiedział, że nie zobaczy go, aż wieczorem. Ten dom, to był świat jego cały; tu skupiły się teraz jego myśli, pragnienia. Kiedy wieczorem wracał do siebie, z lubością wpatrywał się w serduszka zamkniętych okienic; złocisty ich blask mówił mu, że tam nie śpią jeszcze, że ona przy świetle lampy siedzi przy stoliku i czyta, a może myśli o nim, może przygląda się jego fotografii. Te przypuszczenia czyniły go szczęśliwym.

Pewnego wieczoru, wracając do domu, zobaczył pod latarnią cień kobiety wydzierającej się z rąk jakiegoś mężczyzny w cylindrze. Po tym cylindrze i kształtach, które rysowały się wyraźnie na tle światła, poznał Rąbigoszewskiego. Na myśl, że kobietą napastowaną przez niego może być Olimpia, krew nim zawrzała; skoczył z kozła i rzucił się gwałtownie na napastnika, okładając go silnie pięścią. Major napadnięty tak zniemacka, nie próbował się nawet bronić i począł uciekać, ale że cylinder, który mu Hulatyński silnem uderzeniem wpakował aż pod brodę, zasłonił oczy, więc biegał wkoło po ulicy jak ślepy, wymachując i macając rękoma. Przechodnie zatrzymywali się i przypatrywali ciekawie tej scenie; widok eleganta, który w cylindrze, jak w masce, latał niby waryat po ulicy, wydając z cylindra przytłumione okrzyki, obudził śmiech i szaloną wesołość. Zrobiło się małe zbiegowisko, wśród którego Hulatyński stał, słuchając opowiadania drżącej jeszcze z przestachu Olimpki, — bo to była ona.

Opowiadała mu, jak do wracającej z miasta od znajomych przyczepił się ów jego-ność, jak narzucił się jej gwałtem z chęcią odprowadzenia, jak usiłował wziąć ją pod rękę i zaproponował przejażdżkę po plantach i gwałtem chciał ją zmusić do tego.

W czasie opowiadania, Hulatyński spostrzegł, że konie, zostawione same, wystraszone zbiegowiskiem, zaczęły się niepokoić, kręcić w koło z powozem i wreszcie ruszyły z miejsca. Bojąc się, by kogo nie przejechały, rzucił się szybko przez tłum, aby je schwytać. Ten gwałtowny ruch jego jeszcze więcej je przestraszył, puściły się galopem. Hulatyński skoczył pędem za nimi, usiłując chwycić lejce, wlokące się po ziemi; ale nogi mu się zaplątały w rzemienie, zachwiał się i uderzył głową o przednie koło. Upadł pod powóz, którego stopień zadarł mu twarz, a tylne koła przeszły mu po jego piersiach.

Omdlałego i zalanego krwią podnieśli ludzie z ziemi i poczęli trzeźwić, a że nie dawał znaku życia posłali po lekarza.

Olimpia na widok niebezpieczeństwa, w jakim ujrzała swego wybawcę i przyjaciela, odzyskała odwagę i energię. Wystraszona i drżąca przed chwilą, gdy szło o nią, zdobyła się na prawdziwie męską przytomność, i ona głównie zajęła się ratunkiem. Ona to pierwsza pomyślała o lekarzu, a nie chcąc zostawić bezprzytomnego na pastwę ciekawej gawiedzi, kazała go zanieść do swego mieszkania, przed którym właśnie odbywała się ta scena.

Tam kazała go położyć na sofie w saloniku, potem zamknęła dom przed natrętymi, a zbytelnymi widzami, przygotowała na prędce bandażę, wodę i zajęła się sama trzeźwieniem i opatrywaniem chorego dopóki lekarz nie nadejdzie.

Po długich usiłowaniach dało się jej przywrócić go do przytomności, a gdy nadszedł doktor pomagała mu umywać krew, rozpinąć koszulę i ubranie chorego, co było niezbędnem do badania.

Po szczegółowych oględzinach okazało się, że niebezpieczeństwo nie było tak wielkie, jak się na razie zdawało, bo tylko dwa żebra złamane i skóra na twarzy zdrapana krawędzią stopnia od powozu. Doktor zapewniał Olimpię, że dwa lub trzy tygodnie wystarczą do zupełnego wyzdrowienia, potrzeba tylko, aby chory leżał spokojnie i miał troskliwą opiekę.

Chory usłyszawszy to, domagał się, aby go przeniesiono do jego mieszkania, ale Olimpia nie pozwoliła na to, raz z względu, że przenoszenie mogłoby zaszkodzić, a powtóre, że tam w domu nie miałby należytej opieki. Kazała mu być spokojnym, że ona wszystkim się zajmie i zarządzi, co będzie potrzeba.

I rzeczywiście zajęła się tak, że praktyczność jej w zdumienie wprawiła Hulatyńskiego.

Naprzód postarała się o parobka do koni, któryby mógł zastępować chorego w jeździe, następnie wzięła małego Kazika do siebie i umieściła w saloniku przy chorym, zabrała także kucharkę jego i stołowała parobka u siebie, aby nie potrzeba było dwóch domów prowadzić.

Hulatyński, patrząc na nią, jak sobie z wszystkim radziła, jak umiała wszystko mądrze rozsądzić, nie mógł wyjść z podziwu, w jaki sposób to nieśmiałe dziewczątko, które znał dawniej, wyrobiło się na taką rządną i praktyczną gospozię.

Gdy się raz zapytał, kiedy miała czas i gdzie nabyć takiej wprawy w prowadzeniu gospodarstwa? — odpowiedziała mu z całą szczerością, że bieda wszystkiego uczy.

A miała nie mało do roboty, bo oprócz obowiązkowych zajęć z dziećmi, które je kilka godzin dziennie zabierały, musiała myśleć o porządkach w domu, gdyż służąca zajmowała się więcej kuchnią. Obsłużenie sparaliżowanej ciotki, z którą trzeba się było obchodzić jak z dzieckiem, wymagało także dużo czasu i cierpliwości. Teraz znowu przybyła jej do wszystkiego opieka nad chorym, prowadzenie za niego rachunków z kucharką i parobkiem. Temu wszystkiemu podołała bez nadzwyczajnego wysiłku.

Krzętała się, jak mrówka, od wczesnego rana do późnej nocy, a na twarzy jej nie znać było ani znużenia, ani niezadowolenia. Anielska słodycz i delikatność w obejściu się z każdym, stanowiły główny rys jej charakteru. Każdemu umiała powiedzieć jakieś dobre słowo, uspokoić, pocieszyć — istna Siostra Miłosierdzia z dobrotliwym uśmiechem na twarzy.

Hulatyński, gdy z lekarstwem, lub proszkiem wchodziła do saloniku, patrzył na nią, jak na jakie nadzwyczajne zjawisko, które radby był, jak najdłużej zostawić przy sobie.

Ulegając jego prośbom, nieraz siadywała wieczorem przy nim i czytywała mu to książki, to gazety, dla rozerwania go. Oka wtedy z niej nie spuszczał, wpatrując się w jej spokojną twarzyczkę, jak w obraz święty. Było mu tak dobrze, że radby był jak najdłużej chorować, aby przeciągnąć ile możliwości pobyt tutaj. Gdy Olimpki dłuższy czas nie widział, godziny wlokły mu się powoli, nudnie, dopiero z jej wejściem ożywiało się wszystko. Najnudniejsze były ranki, bo wtedy opiekunka jego, zajęta lekcyami, z dziećmi, nie pokazywała się wcale. Jakoż gdy się zjawiała w południe, Hulatyński nie mógł ukryć radości, jaką mu przybycie jej sprawiało.

Raz, gdy weszła do niego później, niż zwykle, bo ją dłużej zatrzymały w kuchni zajęcia gospodarskie, pochwycił ją ucieszony tak gwałtownie za rękę, że filiżanka z rosółem zatrzęsała się i płyn polał się na koldrę.

Skarciła go, jak dziecko, surowym spojrzeniem za to i chciała odejść, ale on nie puszczać jej ręki, podniósł ją do ust i zaczął całować.

— Panie Walenty, co pan robisz? zastanów się! — zawołała zgorzozona, jego znalezieniem się, usiłując wyrwać rękę z rozpalonych jego dłoni, a rumieniec oburzenia zafarbował jej blade oblicze.

Hulatyński nie był w tej chwili panem siebie i zrywając gwałtownym ruchem medalion, który miał na piersiach, podał jej mówiąc:

— Olimpio! czy poznajesz ten medalion?

Głos, jakim te słowa powiedział, zdziwił ją. Otworzyła szeroko oczy, spojrzała na niego, na medalion, otwarła go szybko drżącymi rękoma, a ujrawszy w nim zeszlę listki koniczyny wydała dziwny okrzyk, zachwiała się, zbladła i zemdłona osunęła się w jego objęcia.

## IX

Kiedy przyszedłszy do sił i zdrowia, miał wyjechać pierwszy raz Hulatyński na miasto, zjawił się w jego mieszkaniu Franciszek z wesołą miną i pomyslnymi nowinami.

— Ha! dobra nasza — rzekł — Rąbigoszewskiego wsadzili do ula.

— Jakto? — spytał Hulatyński nie rozumiejąc tego wyrażenia.

— Siedzi już w kryminale — zawołał ucieszony Franciszek z miną tryumfującą, — i nie prędko się wydobędzie, bo sędzia, przed którym stawałem na świadka, mówił, że się od pięciu lat nie wykręci.

— I o cóż? — spytał Hulatyński.

— Dużo się tego nazbierało, a zaczęło się bardzo niewinną skargą jego służącego o zaśluzgi, których mu nie płacił przez lat parę. Major, aby się uwolnić od zapłaty, oskarżył służącego o kradzież, co go tak podrażniło, że zaczął przed sądem śpiewać różne nieczyste sprawy swego pana, postawił mu do oczu świadków, i na mocy zeznań zaprzysiężonych, przycapnięto majora. Jak zaczęło się dochodzenie, wtedy dopiero powykrywały się różne paskunde historye: fałszowane weksle, jakaś jejmość wystąpiła ze skargą o zmianę brylantów, które mu powierzyła do zastawu, na fałszywe, co się dopiero przy wykupie pokazało. Ja także dorzuciłem przed sądem, com wiedział o tym ptaszku i nieźle mu się tem przysłużyłem. Już on nie prędko będzie oglądał świat boży. To mu się już dawno należało. Dobrzeście mówili, że Korbut musiał z nim być w spółce, bo od czasu, gdy majora zamknęli, znikł jak kamfora. Coś mi się zdaje, że on gdzieś w Wiedniu się ukrył, bo żona jego wczoraj tam wyjechała.

— Więc wyjechała! — spytał żywo Hulatyński. — A twój pan?

— Mój pan żeni się. Za miesiąc ślub.

Hulatyński odetchnął, jakby mu ciężki kamień spadł z serca.

— Chwała Bogu — rzekł — bo byłem niespokojny o niego, żeby się z tą nie zaawanturował.

— Musiał on nie bardzo gorąco brać tę miłość nie tak jak mój dawny pan, który po uszy zabrnął i dorzwał z znajomością z nimi. Ten choć młodszy, ale rozumniejszy. Traktował sobie to poprostu, jak zabawkę. Nie wiele sobie z tego robił, że pojechała. Jest we wymienitym humorze, a dziś wybiera się gdzieś na wieś na polowanie. Właśnie przyszedłem zamówić was. Weźcie z sobą obroku na parę dni. Za godzinę jazda. Więc szykujcie się do drogi.

Hulatyński zabrał się odrazu do roboty i w godzinę stał już gotów przed mieszkaniem Anatola, który go niecierpliwie oczekiwał.

Niebawem wyjechali za miasto. Hulatyńskiego to uderzyło, że za rogatką pan Anatol zmienił plan podróży i kazał mu jechać nie do tej wioski, której nazwisko wymienił przy Franciszku, ale zupełnie w inną stronę, do miasteczka, gdzie w pobliżu znajdowała się stacya kolei żelaznej. To mu się wydawało dziwnem. Dlaczego Anatol, mogąc za godzinę dostać się do miejsca koleją, obrał jazdę końmi? Gdyby nie to, że wiedział od Franciszka, iż Julia wyjechała wczoraj do Wiednia, byłby przysięgł, że to jej sprawka, że ten tajemniczy zagadkowy wyjazd ma z nią pewną styczność. Teraz stracił wszelką poszlakę i gubił się w domysłach.

Pozostawało tylko czekać cierpliwie rozwiązania zagadki. Od Anatola bowiem nie można się było nic dowiedzieć, gdy siedział milczący i zamyślony w powozie.

Dopiero w bliskości miasteczka, do którego się zbliżali, odezwał się.

— Czy znasz to miasteczko? Byłeś tu kiedy?

— Albo co?

— Wiesz, gdzie tam jest oberża „pod tygrysem?”

— Nie trudno będzie znaleźć, miasteczko nie duże.

— Ale mnie właśnie zależy na tem, żeby się nie rozpatrywać po mieście, nie zwracać na siebie uwagi.

— Więc niewątpliwie jakaś schadzka — pomyślał sobie Hulatyński, — skoro mu idzie o utrzymanie tajemnicy.

I znowu postać Julii mignęła mu w myślach. Tak miał nią nabitą głowę, że ustawicznie mu się uparcie nawijała.

— Niech pan będzie spokojny — rzekł, — zrobi się tak, że będzie dobrze.

Obiecował mu z pewnością, lubo sam nie był jeszcze pewien, jak zrobi. Liczył na to, że w tak małym miasteczku nie będzie więcej nad jedną oberżę i to zapewne w rynku, a do rynku doprowadzi go każda ulica, przez którą wjedzie do miasta. Tak więc będzie mógł bez pytania dojechać do miejsca.

Kiedy taki plan układał w głowie i z fantazyą podcinał konie, kłusujące szybko po gościńcu, spostrzegł naraz poza drzewami, na ścieżce, która się ciągnęła wzdłuż drogi, jakąś elegancko ubraną damę, która osłonięta od promieni słonecznych czerwoną parasolką, szła od miasteczka naprzeciw nim.

W kształtach i chodzie tej kobiety Hulatyński znowu upatrzył podobieństwo do Julii, — choć zdrowy rozum mówił mu, że to chyba złudzenie, powstałe w skutek tego, że ją dziś ciągle miał na myśli.

Ale im bardziej zbliżali się, tembardziej złudzenie stało się prawdopodobiejszem i skoro powóz znalazł się w takiej odległości, że rysy twarzy dobrze już rozróżnić było można, poznał, że to w rzeczy samej była Julia.

Anatol nie spostrzegł jej zamyślony, aż musiała zawołać na niego.

— Co? pani tutaj? — zawołał zdziwiony, wyskakując co prędzej z powozu i przeskakując rów, aby zbliżyć się do niej.

— Dla czegoż tak późno? — spytała obrzucając go spojrzeniem pełnym wyrzutu.

— Późno? — Spojrzał na zegarek. — Pociąg przybędzie dopiero za dobre pół godziny.

— A ja myślałam, że ci zależy będzie na tem, abyśmy choć z godzinkę przed wyjazdem mogli spędzić w oberży, bo w pociągu może będzie trudno o spokój — rzekła zalotnie, dopowiadając zaiskrzonymi oczyma to, czego usta nie powiedziały.

— O, jakaś ty dobra! — zawołał w uniesieniu młodzieniec i chciał gorącym pocałunkiem podziękować jej, że pamiętała o wszystkim.

— Daj pokój! — nie jesteśmy sami, — rzekła po francusku, aby doróżkarz nie zrozumiał.

— Cóż ci może zależeć na opinii takiego człowieka? — rzekł lekceważąco.

— Nie, nie, niemożna, nie chcę... Wszak jam teraz twoja na wieki. Nic nas już nie rozdzieli. Czyż nie prawda? — mówiła topiąc w niego namiętne spojrzenie.

— Nie, nie — powtarzał za nią stłumionym głosem i ścisnął jej rączki w swoich dłoniach.

— A więc siadajmy, — rzekła.

Przeskoczył z nią rów i wprowadził ją do powozu.

Gdy sam chciał także wejść za nią, Hulatyński, który podczas ich rozmowy zsiadł z kozła i niby coś poprawiał koło koni, zbliżył się i zastępując wchodzącemu drogę, odezwał się stanowczym głosem:

— Niech pan tam nie jedzie.

— Gdzie nie jechać?

— Tam, gdzie ta pani radzi.

— Zwaryowałaś! a tobie co do tego?

— Bo ja panu dobrze życzę i nie chce, aby pana nieszczęście spotkało.

— Co ten plecie? co ten plecie? — mówiła Julia niby obojętnie, ale na twarzy znać było pomieszanie.

— Idź precz, pijaku! — zawołał zniecierpliwiony Anatol i gwałtownym ruchem odsunawszy go z drogi, wsiadł do doróżki.

— Siadaj na kozieł i jedź! — odezwał się tonem rozkazującym, który jednak wcale nie zaimponował Hulatyńskiemu, bo odezwał się spokojnie i stanowczo:

— Nie, panie, ja nie pojadę.

— Dla czego? — zawołał groźnie Anatol.

— Spytaj się pan tej pani — ona wie dobrze dla czego. Bo tam zaczajony gdzieś czeka jej niby mąż, który w chwili, gdy pan będziesz upojony pieszczotami tej pani, zjawi się z rewolwerem i wekslem in blanco — i każe ci zapłacić sobie grubo za pieszczoty. Przypatrz się pan, jak ta pani zbladła z złości, że zdarłem maskę z jej twarzy i pokazałem, co to za potwór moralny.

— I ty pozwalasz temu człowiekowi obrażać mnie w taki sposób? — wybuchnęła gniewem, zwracając się do Anatola.

Anatol stał pomieszany tem wszystkim, co słyszał nie mogąc sobie zdać sprawy. Z podziwem patrzył na doróżkarza, przemawiającego do niego z językiem ludzi lepszego wychowania, na Julię, którą rozpalone gniewem oczy czyniły podobną do furji.

Hulatyński korzystał z tego chwilowego osłupienia jego i mówił dalej:

— Niejednego już wyzyskała ta czuła para w ten sposób, bo to ich rzemiosło, które zapewnia im nie złe utrzymanie. Znam takich, których ta bezczelnica zrujnowała zupełnie.

— Anatolu! — wykrzyknęła, dotknięta do żywego — i ty nic na to?

— Milcz! — zawołał groźnie młody człowiek do woźnicy i podniósłszy w górę laskę, zamierzył się nią na uparcie stojącego przy powozie.

Ale nim spuścił laskę na jego głowę, Hulatyński pochwycił go silnie za rękę i mówił dalej:

— Daj spokój młodzieńcze, szkoda twojej ręki, szkoda każdego ruchu palca, którybyś zrobił w obronie tej kobiety, ona nie warta tego. Jeżeli mi nie wierzysz, to idź przekonaj się, czy nie mówię prawdy, czy tam w oberży nie zastaniesz zastawionej na siebie pułapki, przez pozornego jej małżonka. Ale zabierz dla bezpieczeństwa ze dwóch żandarmów.

— Anatolu! chodźmy, ten człowiek stracił zmysły — rzekła, biorąc go pod rękę i wychodząc co prędzej z powozu.

— Tak, w istocie, straciłem je przez ciebie, przy tobie, ale teraz je odzyskałem, i dla tego przestrzegam innych.

— Chodźmy, chodźmy — powtarzała głośno, aby zagłuszyć jego słowa i ciągnęła za sobą Anatola, który odurzony, nieprzytomny postępował za nią machinalnie.

— Ty idź sama — zawołał Hulatyński, odrzucając ją gwałtownie; — on tam nie pójdzie.

To już było zanadto dla Anatola. Ktokolwiek był ten człowiek przebrany za doróżkarza, bo za prawdziwego doróżkarza stanowczo go już nie uważał, — w każdym razie przebrał miarę, wtrącając się jak Piłat w Credo. — „Co jemu do tego?” — zapytywał sam siebie Anatol, i uważał, że należało mu energicznie wystąpić w obronie i swojej, i tej, którą tak obrażono w jego obecności.

Postawił się więc ostro i mierząc doróżkarza surowym spojrzeniem spytał:

— Mój panie, co to ma znaczyć? Dla czego wtrącasz się w nie swoje rzeczy? Kto pan jesteś?

— Dawny wielbiciel tej pani, który dla niej stracił połowę majątku, w przekonaniu, że ją ocala od męża tyrańca, a który potem przekonał się po niewczasie, że był ofiarą nieczej zmywy.

— On kłamie! nie wierz mu! zawołała żywo. — Nigdy nie znalazłam tego pijaka — przysięgam ci na wszystko, co mam najświętszego.

— Znałaś go pani, tylko inaczej trochę wyglądał, niż dzisiaj. I ty młodzieńcze musiałeś o mnie zapewne słyszeć.

— Któż więc pan ostatecznie jesteś? — spytał Anatol zniecierpliwiony.

Kobieta także w oczekiwaniu wbiła w jego twarz przerażone pytające spojrzenie.

— Jestem Hulatyński.

— Hulatyński! — zawołała z przestachem, jakby ducha zobaczyła i zaczęła uciekać w stronę miasteczka.



— Hulatyński ścigał uciekającą spojrzeniem drwiącem, pełnem pogardy. Gdy zniknęła poza domami, zwrócił się do Anatola, który stał zawstydzony, przygnębiony, i spytał go:

— A co? wierzysz pan teraz, że mówiłem prawdę?

— Więc to pan jesteś ów Hulatyński? — odezwał się po chwili milczenia.

— Tak — jestem Hulatyński.

— I to wszystko prawda, co pan mówiłeś?

— Spytaj się pan w policyi, a tam dowiesz się dużo szczegółów o tej bandzie. On szalbierz i oszust, a ona ladacznica, którą wziął po to, aby jej pięknnością wyzyskiwać łatwowiernych. Żoną jego nigdy nie była.

Po chwili dodał:

— Spodziewam się, że pan potrawisz uszanować moją tajemnicę. Odśloniłem ją jedynie, aby uratować pana.

— Co pana mogło skłonić do tego? Przecież nie zazdrość o tę...?

— Nigdy jej nie kochałem. Byłem tylko zamięki, za dobry, i to moja cała wina, za którą ciężko odpokutowałem. Panu chciałem oszczędzić podobnych doświadczeń.

— Dziękuję panu — rzekł Anatol, wyciągając rękę do Hulatyńskiego, który mu z ochotą podał swoją.

Uścisnęli się serdecznie.

— A teraz wracajmy do miasta — powiedział Hulatyński. — Pańska narzeczona mogłaby się niepokoić tak nagłym wyjazdem pańskim.

— Pan ją znasz?

— Widziałem ją parę razy. Anielskiej to dobroci panienka.

— Masz pan słuszność; jam jej nie wart.

— Jesteś pan młody. Jeszcze masz czas zasłużyć sobie na to szczęście, jakie cię spotyka.

— Tak mi Panie Boże dopomóż!

— A teraz jedźmy.

Anatol chciał koniecznie sięść na kozieł obok swego wybawcy, ale ten żadną miarą nie zgodził się na to.

— Toby zdradziło — mówił — moją tajemnicę, a pan przyrzekłeś mi szanować ją.

Anatol rad nie rad zgodzić się musiał i uczynić zadość życzeniu Hulatyńskiego.

Wrócili do miasta i Hulatyński zawiózł Anatola prosto przed mieszkanie jego narzeczonej. Anatol chciał go koniecznie zabrać z sobą na górę, aby mu sama podziękować mogła za przysługę, jaką im oddał obojgu; ale Hulatyński i na to przystać nie chciał.

— Ona nie powinna wiedzieć o niczem — powiedział. — Czysta jej dusza nie powinna znać tej kałuży, w którą wpadłeś na chwilę. Dziękować nie masz za co; zrobiłem com był powinien. Skorom się sam wydostał z błota, obowiązkiem moim było ratować drugich. Bądź pan zdrow i szczęśliwy!

— Do widzenia! — rzekł Anatol, ściskając serdecznie rękę doróżkarza.

Nie mówił na wiatr: „Do widzenia!” bo w kilka dni zjawił się w pomieszkaniu Hulatyńskiego. Poczciwy chłopiec nie mógł pogodzić się z myślą, żeby mógł tak na sucho rozstawać się z tym, któremu miał tyle do zawdzięczenia za wyratowanie go od strat materialnych i upadku moralnego. Chciał mu to koniecznie czemś wynagrodzić, a widząc jego ubogie mieszkanie i jego samego ciężko pracującego na utrzymanie, ośmielił się w sposób ile możliwości najdelikatniejszy ofiarować mu pomoc pieniężną.

Hulatyński jednak z godnością odmówił przyjęcia pieniędzy.

— Nie potrzebuję pieniędzy — rzekł — bo umiem zapracować i mam tyle, ile mi potrzeba, a nawet coś się odkłada na czarną godzinę. Jestem dziś bogatszy, niż dawniej, bo znam wartość grosza i umiem go szanować. I tobie radzę młodzieńcze nie rozrzucaj mienia bez potrzeby, bo ani się spostrzeżesz, jak stracisz wszystko. To tak łatwo.

Anatol spostrzegł, że się niewłaściwie wyrwał z ofiarowaniem pieniędzy, i począł przeproszać Hulatyńskiego. Szukał jednak innych sposobów wywdzięczenia mu się, ale wszystkie jego usiłowania rozbiły się o szlachetną dumę doróżkarza.

Nareszcie wynalazł sposób. W majątku jego rodziców był folwark nie duży, ale dobrze zagospodarowany; sto morgów pszenicznej ziemi, dworek i budynki w dobrym stanie i pięknym położeniu, staw i trochę lasu. Zaproponował Hulatyńskiemu, aby opuścił doróżkarstwo i wziął od niego ten folwark w dzierżawę.

Nie była to żadna darowizna, więc nie ubliżało Hulatyńskiemu przyjęcie takiej ofiary, a dawało mu możliwość pracy nierównie przyjemniejszej i korzystniejszej, niż doróżkarstwo.

— I ja zyskam na tym — mówił serdeczny młodzieniec, — bo będę miał w bliskości przyjaciela i życzliwego doradcę.

Tak prosił go o to, jakby o łaskę, tak go namawiał, że Hulatyński po namyśle i wahaniu, zdecydował się wreszcie przyjąć tę ofiarę, nie tyle dla siebie, ile ze względu na Olimpię, aby jej i ciotce zapewnić kąt spokojny.

Hulatyński zaraz po ślubie, który się odbył prawie równocześnie z ślubem Anatola, przeniósł się na wieś. Marynię zabrał z sobą, bo Olimpka chciała ją sama uczyć i wychować, a Kazika umieścił na stancyj u jakiegoś profesora. Chłopcu z początku było bardzo markotno zostawać samemu; ale nadzieja, że wakacje będzie spędzał na wsi, osłodziła chwilę rozstania z siostrą i opiekunem, do którego się przywiązał.

Przed wyjazdem z miasta Hulatyński na grobie Tomasza i jego żony kazał położyć kamień z napisem:

„Tomaszowi Wali i jego żonie Dorocie — ich przyjaciel”.

Kamień ten widywałem dość długo na cmentarzu, pokryty zieloną pleśnią od starości i obrosły trawą, która bujnie się roztoczyła koło niego.

Przy porządkowaniu cmentarza, gdy nowe groby w tym miejscu kopać zaczęto, zabrano go i gdzieś pod mur cmentarny go usunięto. W roku zeszłym odszukać go już nie mogłem. Zamiast kamienia napisałem tę powieść, aby jakiś ślad pozostał po tych ludziach.

*Kraków, 1888.*

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dorozkarz-nr-13-calosc>

Tekst opracowany na podstawie: Michał Bałucki, Doróżkarz nr. 13. Opowiadanie, Dodatek powieściowy "Gościa Wielkopolskiego", Drukiem i nakładem Bernarda Miłskiego, Poznań 1902.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: [JanetR3@Flickr](https://www.flickr.com/photos/janet_r3/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0052-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.